
KULTURALNY STARY RYNEK

D L A D Z I E C I





Kulturalny Stary Rynek to cykl inicjatyw kulturalnych organizowanych przez Estradę Poznańską na Starym Rynku w Poznaniu i jego okolicach. W 2019 roku w ponad 70 wydarzeniach wzięło udział ponad 10 000 osób.

Kulturalny Stary Rynek dla dzieci

Teksty: Justyna Drzewicka, Grzegorz Gajek, Ewa Karwan-Jastrzębska, Eliza Piotrowska, Malina Prześluga, Dominika Słowik, Patrycjusz Tomaszewski, Kuba Wojtaszczyk

Rebusy Psa Parówki: Kasia Smoczyńska

Ilustracje i kolorowanki: Adam Quest i TPieńczak

Redakcja: Kuba Wojtaszczyk

Skład: Tomasz Pieńczak

Autor koncepcji: Patrycjusz Tomaszewski

Estrada Poznańska, Miasto Poznań 2020.

Wszystkie Prawa Zastrzeżone.

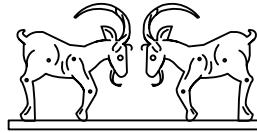
Za pomoc w realizacji książeczki dziękujemy Agnieszce Obrzut z Wydawnictwa Marginesy i Agnieszce Słowik z Wydawnictwa Jaguar

ISBN: 978-83-954961-3-4



KULTURALNY STARY RYNEK

D L A D Z I E C I



ESTRADA POZNAŃSKA

Dzień dobry

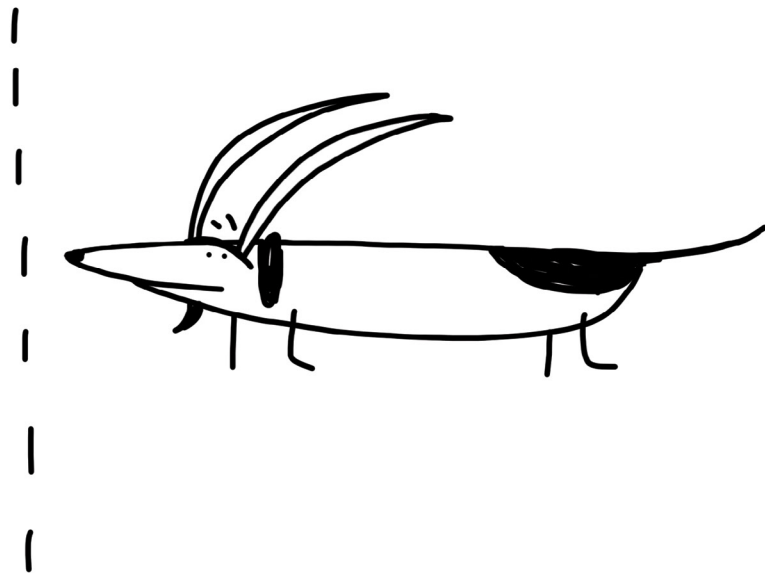
Przed Wami kolejna książeczka dla dzieci związana z cyklem Kulturalny Stary Rynek. Znajdziecie w niej wierszyki, zadania, rebusy, zagadki i przede wszystkim dużo frajdy. Co więcej, wasi ulubieni autorzy i autorki specjalnie dla Was napisali nowe opowiadania. Tak! Przeczytacie je jako pierwsi! Nasze zaproszenie przyjęli Justyna Drzewicka, Grzegorz Gajek, Ewa Karwan-Jastrzębska, Eliza Piotrowska, Malina Prześluga, Dominika Słowik i Kuba Wojtaszczyk. Mamy też niespodziankę. Nasz ilustrator, Tomek Pieńczak zaprasza do dokończenia rysunków towarzyszących opowiadaniom. Poprosiliśmy też Kasię Smoczyńską, by narysowała dla Was nowe przygody Janusza, Psa Parówki. Jest ich aż dwanaście! Mamy nadzieję, że dzięki naszej książeczce, bez względu na to, gdzie teraz jesteście, uda się Wam, chociaż na chwilę, przenieść na Stary Rynek w Poznaniu.

Dobrej zabawy, dużo odporności i przede wszystkim zdrowia!

Estrada Poznańska



Narysuj lustrzane odbicie psa parówki,
aby wyszły ci trykające się
koziołki / parówki.



Fafkel i złote runo

Maciuś przez chwilę nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Czy ze studzienki kanalizacyjnej naprawdę wyrzała na niego para oczu – okrągłych jak spodki i jasnych jak księżyc? Chciał sprawdzić, ale mama już ciągnęła go dalej w dół alejki, już wciskała mu łoda do ręki.

Wyszli na Rynek. Z nieba lał się żar, bruk niemal skwierczał, a piaskowe mury ratusza raziły oczy odbitym światłem słońca. Było samo południe, środek wakacji. Poznań wydawał się opustoszały – turyści ukryli się w cieniu. Gęste, parne powietrze dusiło niczym bardzo stary i bardzo gruby koc.

Mama siadła na schodkach pręgierza. Czoło lśniło jej od potu, wysoko na policzkach błyszcząły dwie idealnie okrągłe czerwone plamy. Domek i Tomek – starsi bracia Maciusia – polecieli szukać ochłody w mgiełce otaczającej fontannę Prozerpiny. Zaraz skończyło się to bójką, gdy Tomek wytrącił Domkowi łoda – a może Domek Tomkowi, bliźniaków ciężko było rozróżnić.

Mama zaczęła strofować chłopców. Nie krzyczała, nie podniosła się z miejsca. W upale wszelki ruch wydawał się niemożliwy.

Maciuś pomyślał o oczach w studziencie. Odwrócił się w stronę alejki. Jego uwagę na chwilę odciągnął rozstawiony tam kramik; sprzedawca chrapał w najlepsze oparty plecami o mur ratusza. Wtem, kawałek dalej, coś drgnęło. Na ścianie sąsiedniej kamienicy zatańczył cień. Maciuś przesunął się, aby lepiej widzieć. I szczeka mu opadła.

W alejce, nie więcej niż kilka kroków za kramem, stał wysoki na jakieś pięćdziesiąt centymetrów stworek o wielkich stopach i trójkątnym ryjku. Ubrany był w coś, co przypominało średniowieczną tunikę i portki. Na plecach miał miecz.

Maciuś obejrzał się na mamę.

– Mogę zobaczyć, co pan sprzedaje na tamtym kramiku? – zapytał, wskazując na śpiącego sprzedawcę.

Mama machnęła ręką na zgodę. Uspokoiwszy bliźniaków, chyba również zapadała w drzemkę.

Maciuś podreptał w stronę kramu, następnie minął go i wszedł w alejkę. Niewysoki stworek zdawał się obwąchiwać ścianę ratusza. Zadzierał wysoko ryjek i niuchał, mamrocząc coś przy tym do siebie.

– Co robisz? – zapytał Maciuś.

Stworek zamarł. Potem jednym płynnym ruchem obrócił się i dobył miecza – nie większego niż nóż kuchenny.

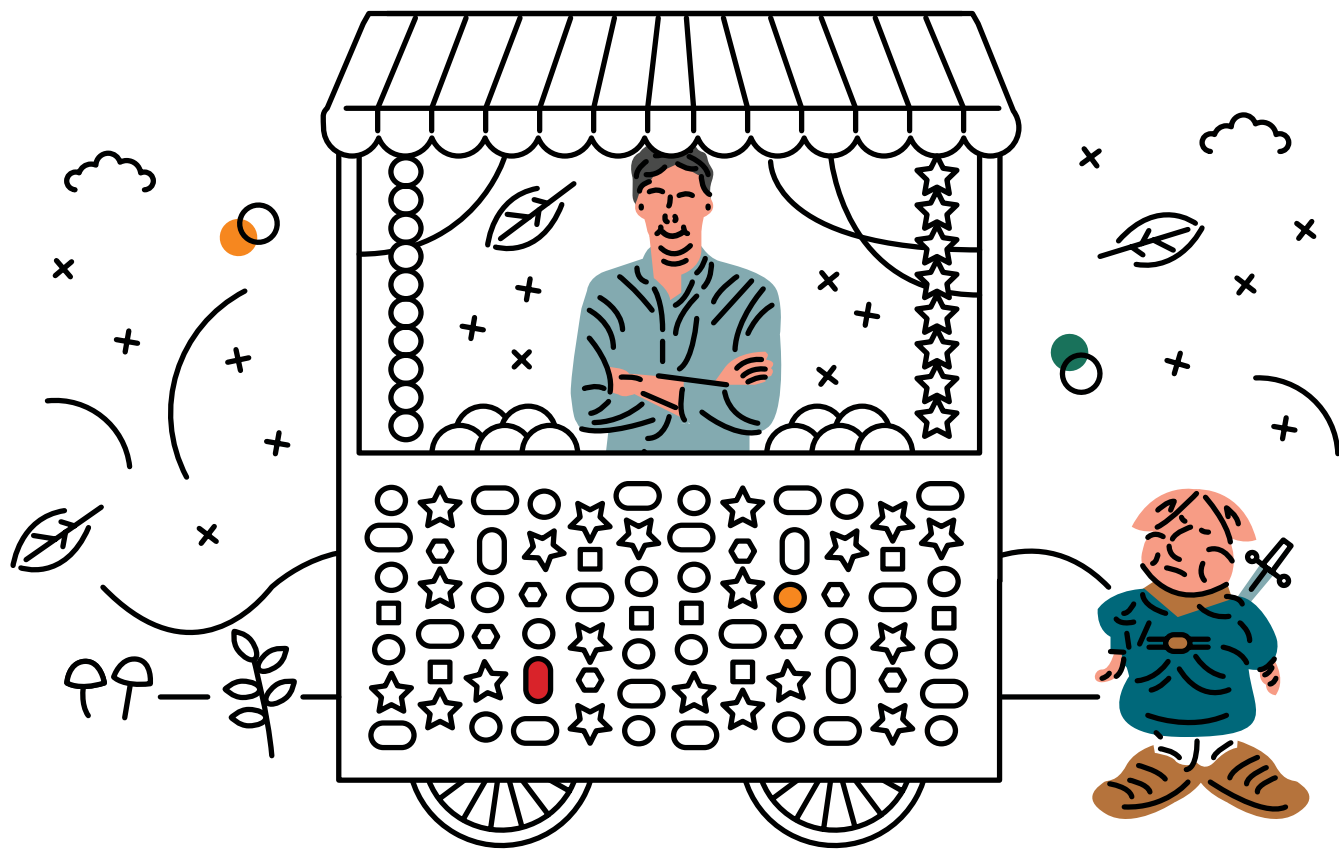
– Nie podchodź, ludziu! – pisnął. – Jak udało ci się mnie wypatrzeć?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Nie chowałeś się za dobrze – stwierdził Maciuś. – Widziałem cię jeszcze, kiedy siedziałeś w studzience. Jesteś goblinem? Jak w „Harrym Potterze”?

Maluch łypnął na chłopca podejrziwie.

– Co to takie goblin? – zapytał. – Próbujesz mnie obrazić, ludziu? Jestem skrzat, nie żaden goblin, jestem Fafkel, potomek wielkiego Fafkela Zabójcy, najwspanialszego bohatera w skrzaciej historii, co tysiąc lat



temu uratował świat. Nie wiem, jak udało ci się przełamać ukrywające mnie zaklęcia, ale teraz odejdź. Odejdź, bo cię ciachnę!

Chłopiec nie dał się zbić z tropu. Skrzat nie sięgał mu nawet do pasa i, choć zaciskał w dłoni miecz, nie wyglądał groźnie.

– Szukasz czegoś? – zapytał Maciuś. – Jeśli tak, może mógłbym ci pomóc?

Fafkel zmarszczył ryjek. Namyślał się chwilę, łypiąc to na chłopca, to na ostrze swego oręża. W końcu opuścił broń.

– Szukam... złotego runa – oświadczył.

– Runa? – zdziwił się Maciuś. – A co to jest runo?

Skrzat wyraźnie się stropił. Schował miecz i podrapał się za uchem.

– No... szczerze powiedziawszy, nie ze bardzo wiem – powiedział. – To jakby takie chyba dziwne słowo na włosy. Włosy kozy.

– Kozy? Ale skąd... Aaa! – Maciuś uniósł wzrok ku ratuszowej wieży. – Chodzi ci o nasze koziołki.

– Może tak, może nie – Fafkel skrzyżował ręce na chudej piersi. – Co z tego?

– Wiesz... one tak naprawdę nie mają włosów. To są takie jakby... zabawkowe koziołki.

Skrzat nieufnie spojrzał na chłopca.

– Bujasz mnie! – prychnął.

Maciuś westchnął. Przyszło mu do głowy, że mama lada moment stwierdzi, że za długo go nie ma, może nawet zauważy, że nie stoi przy kramie i będzie się martwić.

– Jak sobie chcesz – powiedział. – Muszę już iść, ale będę trzymał kciuki, żebyś znalazł, czego szukasz.

Nie doczekawszy się od Fafkela żadnej odpowiedzi, potruchtał z powrotem w kierunku pręgierza. Jednak zahamował tuż u wylotu alejki. Choć słońce wciąż grzało jak szalone, a od gorąca aż falowało powietrze, głęboko w żołądku odczuł dziwny chłód. Serce zabiło mu żywiej. Coś było nie tak. Mama wcale się za nim nie rozglądała, jak zabita spała na kamiennych schodkach, z głową zwieszoną na pierś. Domek i Tomek rozkraczyli się pod fontanną, spleceni w uścisku, jakby przerwali w połowie bójkę; w ich włosach delikatną złotą mgiełką lśniła rosa.

Maciuś podszedł do mamy, pociągnął ją za ramię. Nic. Potrząsnął. Nic.

– Mamo?

Nic. Zupełnie... zupełnie jakby ktoś rzucił na nią czar. Jakby ktoś rzucił czar na całe miasto.

Maciuś pognął z powrotem do alejki, niemal wpadł na Fafkela, który – mruczac znowu pod nosem – właśnie opukiwał ścianę ratusza.

– To nie jest śmieszne! – wypalił chłopiec. – Rzuciłeś jakiś czar na moją mamę?

– Daj mi spokój, ludziu! – fuknął skrzat. – Nikogo niczym nie rzuciłem. Zakłęcie miało tylko osłaniać mnie przed wścibskimi oczami... Zresztą ewidentnie nie zadziałało.

– To dlaczego na całym rynku wszyscy śpią? I dlaczego nie dają się obudzić?

Fafkel zamarł z ręką uniesioną do muru. Powoli obrócił ryjek w stronę chłopca.

– Śpią? Wszyscy? – zapytał. Następnie wyrzucił z siebie jakieś słowo piskliwo-warkotliwe, które

musiało być w skrzacim języku przekleństwem.

Maciusia przeszedł dreszcz.

– Jest gorzej niż myślałem, skoro już i ludziów dotyka zły urok – po chwili milczenia powiedział skrzat.

– Ale... ale co... – wydukał chłopiec.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia – przerwał Fafkel. – Jeżeli chcesz pomóc, buzia w ciup i chodź za mną.

Stworek wrócił do opukiwania ściany. Spieszył się. Błyskawicznie przebiegał łapkami, niuchał i mamrotał – bez przerwy mamrotał. Nagle przystanął. Radośnie zatupał obiema stopami, przytknął dłonie do muru i wyrzekł, jak gdyby do siebie:

– Leli, leli...

Na ścianie pojawiła się świetlista pręga. Część tynku osypała się bezgłośnie – w locie obracając się w czerniawy dym – a odsłonięte w ten sposób cegły zaczęły tańczyć i zmieniać kształty. Trwało to może kilkanaście sekund. Maciuś ani się obejrzał, a już otwierała się przed nim wąska szczelina. Wionęło z niej piwniczną wonią – nie całkiem nieprzyjemną, w pewien sposób ekscytującą, kojarzącą się z ukrytymi pod ziemią skarbami.

Fafkel zmarszczył nos, dobył miecza i wlaż w otwór. Maciuś po krótkim wahaniu ruszył za skrzatem, garbiąc się i wciągając brzuch, aby przecisnąć się tam, gdzie jego mały kompan zmieścił się bez trudu.

W pierwszej chwili widać było jedynie ciemność. Potem oczy chłopca przywykły do mroku i ujrzał

spiralne schodki. Gdzieś z wysoka ściekała odrobina słonecznego blasku. W powietrzu wirowały drobiny kurzu.

Fafkel zaczął się wspinać pod górę, a jego wielkie stopy dudniły o drewniane stopnie – coraz ciszej i ciszej, w miarę jak wchodził coraz wyżej i wyżej. Nagle umilkły. Szust, tup... i cisza. Potem głos, dziwnie zniekształcony, jakby musiał wciąć się węzowato, aby osiągnąć uszu Maciusia:

– Idziesz?

Chłopiec wdrapał się śladem malucha, poruszając się na rękach i nogach niczym po drabinie. Gdy wreszcie stanął u boku niewysokiego stworka, dłonie miał czarne od kurzu. Nie zwracał jednak na to uwagi. Z wrażenia zaparło mu dech.

– Wow... – wymamrotał.

Znaleźli się teraz w wysokim pomieszczeniu, pośrodku którego stał jak gdyby stelaż z pomalowanej na zielono stali, a na nim – zębátky, łańcuchy, jakieś tłoki, wahadło. Wszystko to zaś oplatała warstwa grubej, złotej pajęczyny.

– To mechanizm zegarowy – domyślił się Maciuś. – Tyle że... tyle że stanął w miejscu...

– Ciii! – syknął Fafkel.

Obrócił się gwałtownie, skoczył na stelaż, podciągnął w górę... Zamarł. Wysoko nad mechanizmem zegara coś zatrzepotało. Zafalowały cienie.

Skrzat wspiał się na najwyższą poprzeczną belkę stalowej konstrukcji. Uniósł czubek miecza.

– Wyłaż! – zawołał.

W tym momencie – z głośnym łoskotem, roztaczając wkoło przeraźliwy odór – z ciemności coś na niego runęło. Maciuś dostrzegł skrzydła i pazury... należące chyba do wrony, tylko wielkie, wielkie... W płataninie piór mignęła mu pomarszczona, półludzka twarz... Potem Fafkel runął na ziemię, zgubiwszy w locie miecz. Chłopiec rzucił się naprzód, schwycił skrzata i razem potoczyli się po podłodze. Przerazające pierzaste stworzenie już było przy nich. Tłukło skrzydłami, skrzeczało.

Maciuś i Fafkel dali nura na drugą stronę stelaża.

– Co to?! – wykrzyknął chłopiec.

– Strzyga – odparł skrzat. – Rzuciła czar na wszystkie skrzaty, a teraz też na ludziów! Dlatego śpią!

Na obszerniejsze wyjaśnienia nie starczyło czasu. Strzyga przedarła się między zębatkami i łańcuchami. Spróbowała złapać Fafkela w szpony, ale Maciuś odruchowo grzmotnął ją pięścią w dziób. Następnie pociągnął malucha za fraki i ponownie przetoczyli się pod mechanizmem zegarowym.

– Gdzie te wasze kozy? – zapytał skrzat.

– Koziołki – poprawił odruchowo chłopiec. – Na górze. Tam. Po drabinie.

– Odciągnij uwagę strzygi. Idę po runo.

– Ale one nie mają runa!

Fafkel nie dał sobie przetłumaczyć. Jednym susem dotarł pod drabinę i zaczął drapać się w górę. Cóż było robić? Maciuś wyszedł na środek pomieszczenia, ściągnął trampka i rzucił nim w strzygę. Skrzydlata potwora pisnęła, skrzeknęła. Rozkładając groźnie skrzydła, runęła ku chłopcu.

W ostatniej chwili zahamowała jednak. Obróciła głowę w stronę skrzata.

– Nie! Jego zostaw! – zawołał Maciuś.

Stwór tylko się uśmiechnął i pomknął w górę. Ściągnął Fafkela z drabiny.

– Miecz! – krzyknął stworek. – Rzuć mi miecz!

Chłopiec się rozejrzał. Mieczyk leżał w kącie pod ścianą. Maciuś skoczył ku niemu, zacisnął dłoń na rękojeści. Już, już szykował się, aby rzucić broń Fafkelowi... lecz wtem powstała mu w głowie pewna myśl.

Złote runo... Przypomniał sobie złotawą mgiełkę otaczającą głowy Domka i Tomka, gdy spali pod fontanną. W pamięci miał złoty blask słońca, w którym tonął Rynek. I nagle uświadomił sobie, że kiedy wraz z mamą i braćmi stanął pod ratuszem, było samo południe. Koziołki powinny były wyjechać nad tarczę zegara i bóść się rogami. Ale to się nie wydarzyło, bo czas stanął w miejscu i południe trwało bez końca. Dlatego wszyscy usnęli. Utknęli zakłęci w czasie, jakby oplątani złotą pajęczyną... złotym runem.

– No jasne... – szepnął Maciuś.

Jego wzrok padł na grube złote nici, które unieruchomiły mechanizm zegarowy. Chłopiec skoczył przed siebie, zamachnął się mieczykiem. Ostrze bez trudu rozplątało zwoje pajęczyny, a pokoik nagle wypełnił się łoskotem ruszających zębatek, klekotem łańcuchów, świstem zapadek.

Strzyga pisnęła. Wypuściła Fafkela i spróbowała rzucić się na Maciusia. Ale było już za późno. Gdzieś w górze otworzyły się niewielkie drzwiczki. Koziołki wyjechały na swe miejsca, by bóść się różkami. A do pomieszczenia napłynęło świeże powietrze i światło dnia.

Skrzydłata potwora z krzykiem przemieniła się w chmurę czarnego dymu.

* * *

Tymczasem pod pręgierzem mama Maciusia otworzyła oczy. Zamrugła.

– Domek, Tomek! – krzyknęła; była zła, choć nie pamiętała dlaczego.

Bliźniacy zaczęli gramolić się na nogi, przecierać zaspane oczy. Mokre czupryny kleiły im się do uszu.

– Chłopcy, jak wy wyglądacie... – zaczęła mama, próbując na nowo wzniecić w sobie słuszny gniew. Nagle przeraziła się i skoczyła na równe nogi.

Maciusia nie było nigdzie w pobliżu.

Już miała zacząć biegać, szukać. Wtem ujrzała, że chłopiec stoi przy kramiku w pobliskiej alejce. No tak, mówił coś na ten temat... Słyszała jednym uchem, ale potem musiała się zdrzemnąć.

– Maciuś! – zawołała. – Maciuś, chodź no, zjemy jeszcze po lodzie. Gorąc taki.

Chłopiec pobiegł do mamy, lecz w pół drogi zatrzymał się jeszcze na chwilę, obejrzał przez ramię. Coś musiało mu się bardzo spodobać na tamtym kramiku.

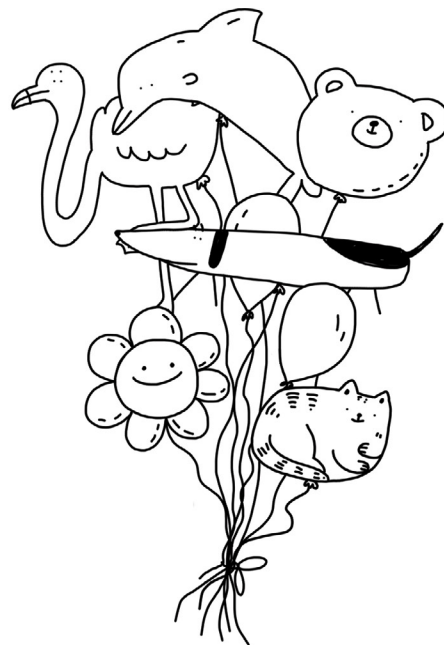
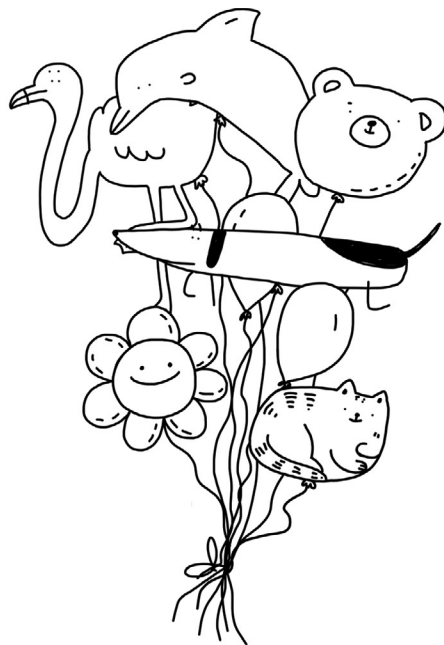
Mama uniosła wzrok i nagle, kątem oka, uchwyciła jakiś ruch w alejce. Choć nie... Nie. Musiało jej się tylko przewidzieć.

KONIEC

Zadania:

1. Fafkel ma około pół metra. Na podstawie opisu z opowiadania spróbuj go narysować.
2. Spróbuj zbudować z klocków tajne przejście z okrągłymi schodami w ratuszu. Nie zapomnij o Strzydze.
3. Mama wzięła na Rynek 100 złotych. Dymek i Tymek, Mama i Maciuś zjedli po 1 lodzie. Każdy kosztował 3 złote. Mama kupiła potem wszystkim po dodatkowym lodzie. Na kramiku z pamiątkami kupili też magnes na lodówkę za 20 złotych i o połowę tańszy breloczek. Ile zostało mamie pieniędzy w portfelu?

ZNAJDŹ RÓŻNICE!
Jesteś na Starym Ryнку i widzisz dwa stoiska
z balonami. Poszukaj 10-ciu różnic między nimi.



Marylka ratuje świat

Rodzina Sobolewskich, czyli Magda, Tomasz i ich siedmioletnia córka Marylka, uwiła sobie gniazdko na najwyższym, trzecim piętrze. Mieszkanie na drugim zajmowała wiekowa pani Maciejowa, a to na pierwszym równie posunięty w latach pan Walenty, do którego należała też mała piekarnia na parterze. Byli to jedyni lokatorzy miniaturowej kamieniczki przy Starym Rynku, z wejściem od ulicy Woźnej.

Sobolewscy żyli w zgodzie z obojgiem sąsiadów, ale zajęci swoimi sprawami, trzymali się nieco z boku. Nigdy więc nie zapytali, chociaż ich to ciekawiło, skąd u pana Walentego tak prehistoryczne imię, a u pani Maciejowej tak starodawne przezwisko. Przyjemnie jednak patrzyło im się, a najbardziej Marylce, na codzienną krzątanicę staruszków i ich zwyczaje.

Pani Maciejowa równo pięć minut przed południem wyprowadzała na spacer po Starówce dwa białe pieski. Bardzo wyjątkowe, bo smukłe, długonogie, rozbrykane i jakby... brodate. I zawsze, ledwie z nimi wyszła, tuż po dwunastej byli z powrotem. Z kolei pan Walenty przez okrągły rok piekł świętomarcińskie rogaliki, których zapach roznosił się po Rynku. Dziwne, bo przecież nikt nie widział, żeby sąsiad sprzedawał je kiedy indziej niż jedenastego listopada. Można by pomyśleć, że pani Maciejowa wyprowadza pieski tylko po to, żeby posłuchały bicia zegara, zaś pan Walenty wyrabia łakocie wyłącznie dla aromatu, jakby chciał wonią rogalików otulić całe miasto. Aż pewnej marcowej soboty...

Marylka obudziła się wcześniej, tknięta złym przeczuciem. Wyjrzała przez okno. Nisko nad ziemią

płynęły rzadkie szare chmury. Kładły się postrzępionymi cieniami na zabytkowych kamieniczkach, pod którymi snuło się kilkunastu przechodniów. Wszyscy z opuszczonymi głowami i ospali. Nie było wątpliwości – ich także dopadło przygnębienie. Marylce zdawało się, że z każdą chwilą robi się coraz ciemniej, że wstający dzień niemal od razu przeszedł w wieczór. Popatrzyła w niebo. Dziwne obłoki wyraźnie zgęstniały, pociemniały i sunęły jeszcze niżej.

Chciała zawołać rodziców, gdy ktoś załomotał do drzwi. Walił jakby się paliło, lecz tego ranka tata Marylki poruszał się wolniej niż mucha w smole. Dopiero po kilku minutach niespiesznego szukania okularów, kapci, a wreszcie kluczy, odryglował zamki. Na progu stała pani Maciejowa.

– No nareszcie – powiedziała z wyrzutem. – Do roboty.

Bezceremonialnie wepchnęła się do środka razem ze swoimi psami. Pan domu ani drgnął. Na jego twarzy malowały się zgnębienie i apatia.

– Eee – wydukał w końcu – to już poniedziałek? Zaspałem? Trzeba iść do pracy?

Pani Maciejowa aż tupnęła.

– Do jakiej znowu pracy?! Rogale trzeba piec.

W zatłoczonym przedpokoju pojawiła się mama.

– Tomaszu, co się...

Ona też mówiła powoli i miała taką samą minę jak tata. Staruszka wzięła się pod boki.

– Nie ma czasu na rozmowy – prychnęła, po czym w pewien szczególny sposób zakręciła palcami i dodała: – Ubierajcie się, ale na jednej nodze.

Ku ogromnemu zaskoczeniu Marylki rodzice bez słowa sprzeciwu rzucili się szukać butów, spodni, swetrów i reszty garderoby. Na dodatek, naprawdę podskakiwali każde na jednej nodze, przez co już po chwili leżeli zaplątani w rękawy i nogawki.

– No dobra, na dwóch nogach, byle galopem – złagodniała pani Maciejowa, a widząc, że Tomasz i Magda zaczynają przebierać dolnymi kończynami niczym konie wyścigowe, poprawiła się: – Po prostu szybko.

Marylka przypatrywała się temu szeroko otwartymi oczyma. Od samego rana działy się rzeczy, których nie mogła zrozumieć. Dziwnie smutni przechodnie, jeszcze dziwniejsza pogoda, wizyta sąsiadki o niespotykanej porze, a w końcu nietypowe zachowanie mamy i taty. Dziewczynka stała na środku przedpokoju, próbując poskładać myśli.

Poczuła, że staruszka przewierca ją wzrokiem.

– Wygląda na to – powiedziała pani Maciejowa, – że na ciebie nie działa...

– Co?

– To, co działa na twoich rodziców i na pozostałych. Od dawna podejrzewałam, że jesteś szczególną osobką. Potem ci wszystko wytłumaczę, teraz naprawdę musimy się spieszyć. Ubierzesz się? Twoja pomoc też będzie potrzebna.

Dosłownie dwie minuty później Sobolewscy byli gotowi. Tata w skarpetkach nie do pary, mama w wywróconej na lewą stronę bluzce, wszyscy rozczochrani i nieumyjni, ale zvarci i chętni do pracy.

Gdy całą szóstką, licząc psy, pędzili po schodach, pani Maciejowa wreszcie znalazła czas, by cokolwiek wyjaśnić.



– Walenty w szpitalu. Trzeba działać. Lada moment Poznań się obudzi. Nie wolno nam się spóźnić. Pójdziecie ze mną do piekarni. Magda i Tomasz pomogą mi przy rogalach, a Marylka zajmie się zwierzętami. Niech robią, co chcą, byleby w południe wyszły na Rynek. Dacie radę?

– Ja dam – odpowiedziała dziewczynka, akurat gdy zatrzymali się pod drzwiami piekarni.

Pewnie, że tak. Zawsze chciała mieć psa, a dziś mogła przez chwilę mieć dwa! Co prawda każdy

z czworonogów ważył więcej od Marylki i był tylko odrobinę niższy, ale coś jej mówiło, że łatwo się z nimi dogada. Rodzice nie protestowali, jakby było oczywiste, że ich córka poskromi dwa brytany. Choć być może powinni, widząc, że jeden zjada klamkę, a drugi wycieraczkę. Czyżby od chwili, kiedy sąsiadka zakręciła palcami nic nie było w stanie wytrącić ich z równowagi?

– A więc do boju, rodzinio! – zakomenderowała staruszka, ale szybko się poprawiła: – Do pieczenia rogali.

Zdążyła ze zmianą polecenia w ostatniej chwili, bo mama już chciała gdzieś pędzić, dzierżąc w rękach rycerską lancę, czyli łopatę piekarniczą. Tata nigdzie nie pobiegł chyba tylko dlatego, że w bitewnym zapale żona niechcący zdzieliła go swym orężem w głowę i na moment biedaka zamroczyło.

Niezwyczajnie było to, że te harce nikogo nie zaciekały. Nieliczni przechodnie – jeszcze bardziej bezwolni, z jeszcze niżej opuszczonymi głowami – nawet nie podnieśli oczu. Chyba uciekali przed widokiem nieba, które już prawie w całości przesłaniały chmury, teraz niemal czarne.

Marylka wreszcie zrozumiała. Coś nadpłynęło nad miasto, coś niosącego przygnębienie i niemoc. Zły czar, pomyślała. Miała tylko siedem lat, inaczej nazwać tego c z e g o ś nie umiała. Poznań był dotąd chroniony przed owym Złem zapachem wypiekanych przez pana Walentego rogali, ale staruszek zaniemógł. Na posterunku została jego przyjaciółka, pani Maciejowa, która potrafiła zdjąć z mamy i taty mroczny smutek oraz zdołała zapędzić ich do pracy w piekarni, by wspólnie przywrócić miastu opiekuńczy aromat. Inna sprawa, że w tym celu rzuciła na nich własne zaklęcie, podporządkowała swojej woli. Dlatego bez zastanowienia spełniali jej wszystkie życzenia, a ona musiała uważać na to, co mówi.

Niesamowicie to brzmiało: mroczna pogoda, czary, tajemniczy sąsiedzi, ale Marylka wiedziała, że ma rację i już. Bo ona sama – nagle stało się dla niej jasne – od zawsze przeczuwała, że świat ma także magiczną stronę. Zwykle się nad tym nie zastanawiała, jednak dostrzegała więcej niż inni. Chyba to miała na myśli pani Maciejowa, mówiąc, że Marylka jest szczególną osobką.

Staruszka otworzyła drzwi piekarni, zaprosiła do wewnątrz Sobolewskich i wepchnęła psy.

– To tak – powiedziała, gdy tylko znaleźli się w środku – Marylka sama z siebie już wszystko ogarnęła, widzę to dobrze, a wam, Magdo i Tomaszu, nie ma sensu niczego tłumaczyć, bo gdy całe zamieszanie się skończy, i tak nie będziecie pamiętać. Grunt, że trzeba upichcić te nieszczęsne rogale, zanim będzie za późno. Myślę, że mamy czas najwyżej do południa, bo potem...

Znowu zakręciła po swojemu palcami, wydała kilka poleceń i rodzice wzięli się za wyciąganie stolnic, nakładanie fartuchów i fikuśnych czapeczek piekarzy, za szorowanie rąk, za otwieranie szafek, z których docierał oszałamiający zapach bakalii, masła i słodkiego maku. A potem tarli, kroili, podgrzewali, mieszały, ucierali, zagniatali, wałkowali i formowali. Nie lenili się. Pani Maciejowa też zakasała rękawy, a i Marylka pomagała, chociaż musiała mieć oko na pieski. Ponieważ jednak nikt w tej drużynie nie miał wielkiego pojęcia o pieczeniu świętomarcińskich rogali, robota szła opornie. Wskazówki wiszącego na ścianie zegara posuwały się do przodu, południe było coraz bliżej, na zewnątrz gęstniał zmrok, a tu jeszcze tak wiele do zrobienia.

O pół do dwunastej za oknem zrobiło się prawie ciemno. Markotny przechodzień uderzył głową w szybę. Zachowywał się jak gdyby nic nie widział i nie miał pojęcia, co robi. Serce ścisnęło się Marylce. Pani Maciejowa zagryzła wargi.

– No, piecz się – wymamrotała prawie bezgłośnie.

Zdążyli w ostatniej chwili. Inna od wszystkiego, niesamowita woń świętomarcińskich rogali buchnęła z otwartego pieca.

– Wspaniale, dziękuję – zaczęła klaskać staruszka. – Pogratulujcie sobie wzajemnie.

Rodzice tak zamaszycie potrzęsali rękoma, że aż zrzucili garnek z blatu.

– Albo nie, lepiej odpocznijcie, nic nie robiąc.

Wkrótce wszyscy siedzieli w milczeniu, zbierając siły, rozkoszując się poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Dla rozluźnienia podgryzali rogale.

– A niech to! – pani Maciejowa zerwała się gwałtownie, ale zaraz potem syknęła i opadła na krzesło, trzymając się za plecy. – Ojjoj! Zapomniałam. Zwierzaki trzeba wyprowadzić, a mnie znowu ból korzonków dopadł i nie dam rady. A bez tego wszystko na nic.

Spojrzała błagalnie na Marylkę.

– Już pędzę – krzyknęła dziewczynka.

Zakręciła się na pięcie, chwyciła smycze i wybiegła na dwór. W drzwiach usłyszała, jak sąsiadka prosi tatę, żeby skoczył po coś do popicia lekarstwa, a kiedy rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, żeby jednak nie skakał. Marylka przyjrzała się uważniej pupilom pani Maciejowej. Ledwie znalazły się na zewnątrz, zajęły się skubaniem biednej roślinki wegetującej w donicy przed piekarnią. Nie zachowywały się jak typowe pieski. Przypominały...

– Koziołki! – klasnęła w dłonie.

Pani Maciejowa przykuśtykała do drzwi. Uśmiechała się od ucha do ucha. Podobała jej się ta rodzina. Tomasz i Magda pięknie poradzili sobie z pieczeniem magicznych rogali, a ich córka okazała się skarbem.

– Idź – powiedziała do dziewczynki. – Punktualnie w południe musisz stanąć z nimi pod ratuszem. To już lada moment.

Koziołki podreptały kopytkami i grzecznie dały się zaprowadzić pod wieżę. Gdy zegar zaczął wybijać dwunastą, zaczęły stukać się różkami. Jednocześnie zapach rogali dotarł właśnie do najdalszych zakątków Starego Rynku.

Marylka rozejrzała się dookoła. Chmury zniknęły, a ludzie zachowywali się jak zwykle. Uśmiechali się do siebie, gawędzili, żartowali.

– Czasami myślę, że tu jest jakaś magia – powiedział ktoś stojący obok Marylki.

– Ja też, za nic na świecie nie chciałabym mieszkać gdzieś indziej – odparła.

KONIEC

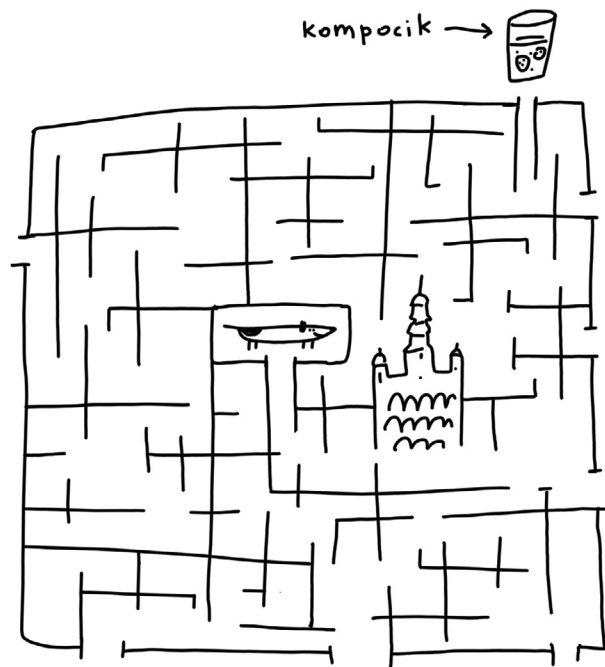
Zadania:

1. Zbuduj z klocków kamienicę z 4 kondygnacjami. Pamiętaj o piekarni i mieszkaniach: Pana Walentego, Pani Maciejowej i Marylki.
2. Narysuj Panią Maciejową z jej „psami”.
3. Zorganizuj z rodziną konkurs na najdziwniejsze skoki. Kto wygra?
4. Pani Maciejowa zna się na czarach. Wymyśl zaklęcie odganiające ciemne i złowieszcze chmury. Pamiętaj, by się rymowało.

LABIRYNT RYNEK*

Parówka był na koncercie w Quadro, a następnie idzie ze znajomymi na kompocik w Dragonie. Pomóż mu znaleźć najkrótszą trasę, by tym razem był na czas.

* labirynt nie jest dokładnym odzwierciedleniem rzeczywistości



Tajemnica Adeli

W nocy obudził Adelę zapach suszonych roślin i egzotycznych przypraw. Czuliła się tak, jakby wpadła do worka pełnego wonnych ziół. Nie pierwszy raz śniły jej się zapachy. Potrafiła je już rozróżniać. Mięta, rumianek, tymianek i bazylia mieszały się ze słodyczą cynamonu i wanilii. Rozpoznała unoszącą się w powietrzu nutę poziomek, swoich ulubionych owoców, i otworzyła w ciemnościach oczy. Przez chwilę wydawało jej się, że jest w ogrodzie. Potem zapachy umknęły i znów była sama w pokoju pełnym starych mebli.

Adela mieszkała z rodzicami w kamienicy przy poznańskim rynku. Mieszkanie odziedziczyli po zaginionym wuju, który wiele podróżował, zwiedzał egzotyczne kraje, a potem zniknął, jak wieść niosła, w dalekim afrykańskim buszu i nie dawał znaku życia. Nie wiadomo było, co się z nim stało, domem zaopiekowała się najbliższa rodzina.

Dziewczynka lubiła wyobrażać sobie, że wuj został lekarzem w zapomnianej przez ludzi wiosce i ratuje życie jej mieszkańcom. Wymyśliła, iż jest tam zielarzem i pewnie stąd brały się we śnie te dziwne zapachy. Bo za nim tęskniła. Tata kiedyś opowiadał, że wiele wieków wcześniej mieściła się na parterze tej kamienicy apteka Pod Białym Orłem, która należała do rodziny mamy. Jakiś czas temu przeniesiona została w inne miejsce, ale jej duch pozostał.

Adela wierzyła w duchy, jak mało kto. Są wśród nas, wszędzie, była o tym przekonana. Pradziad zielarz, prababcia zielarka... Dziewczynka czasem rysowała rośliny i ludzi w dziwnych strojach. Miała cały

zeszyt ze scenkami, które rozgrywały się w dawnych czasach na rynku. Raz namalowała swoją rówieśniczkę w granatowej pelerynie z koszem przy wejściu do kamienicy, stojącą tuż pod Białym Orłem, który do dziś pozostał na murze wykuty w kamieniu. Ciekawe, kim ona była?

Tej nocy, gdy Adela leżała w łóżku, zapachy docierały do niej ze wszystkich stron.

„Czy możliwe jest, aby coś tak odległego w czasie nadal pachniało? Apteki dawno tu nie ma, ludzie odeszli... A co, jeśli czas ma inny wymiar i wszystko trwa jednocześnie, a nie po kolei?” – zastanawiała się, wpatrzona w księżyc, którego rożek wychylał się zza dachu przeciwległej kamienicy.

Wreszcie usnęła i gdy się obudziła, światło wlewało się do pokoju, oświetlając stojące w nim kufry. Zerknęła na nie, rozmyślając po raz nie wiadomo który, co kryją w swoim wnętrzu.

Zostawił je tu wuj. Zamknięte na wielkie kłódki, kusiły dziewczynkę, aby do nich zajrzeć. Jeszcze więcej było ich w kuchni. Cała kolekcja. Pewnie kryły przyprawy.

– Adela, śniadanie! Masz kwadrans! – usłyszała wołanie mamy.

– Przecież jest niedziela...chcę jeszcze pospać... – odpowiedziała cicho, wiedząc, że mama jej nie usłyszy.

Zwlokła się z łóżka, ziewając, i wyjrzała przez okno. Padał deszcz. Woda wsiąkała w wielkie parasole rozpostarte nad stolikami kawiarni. Tworzyły kolorowy wianek wzdłuż kamienic. Siedzieli pod nimi pierwsi goście, którym nie przeszkodziła deszczowa pogoda.

– Już idę, mamó! – odkrzyknęła.

Złapała koszulkę, ulubione spodnie w kratkę i pobiegła do łazienki. Ściana wyłożona kaflami wyglądała jak

mapa podróżnika, którą nadgryzł ząb czasu. Niektóre były wyszczerbione, inne miały rysy, układające się w niezrozumiałe, tajemnicze wzory.

Gdy nie musiała spieszyć się do szkoły, wpatrywała się w nie i wyobrażała sobie odległe krainy. Kiedyś, gdy puściła wodę do wanny, wydawało jej się, że spod potoku wydobywa się szum morza i że ktoś coś do niej krzyczy z bardzo daleka.

Nie mogła teraz wsłuchiwać się w bulgoty w rurach, bo umówiła się z mamą na generalne porządki. Tata, który był strażakiem, dziś pracował, więc zostały same w domu i mogły, jak to mawiała mama, dokonać przewrotu. Niczym prawdziwe rewolucjonistki. Tylko potem tata nic nie mógł znaleźć. Zaśmiała się cicho. Tata był najdzielniejszym ojcem na świecie.

„Dobrze, że pada deszcz – pomyślała – pomoże mu ugasić pożary”.

Dziewczynka pojawiła się w progu kuchni. Mama spojrzała na nią z porozumiewaczym uśmiechem, bo знаła swoją córkę jak nikt, i powiedziała:

– Czas otworzyć kufer. Wierzę, że mój brat wróci, przed wyjazdem poprosił mnie o otwarcie jednego z nich równo po pięciu latach. Dziś wypada ten dzień. Chcesz ze mną zobaczyć, co kryje się w środku?

Adela podskoczyła z radości i przytaknęła, wpatrując się w połyskujące w słońcu zamki.

– Trzeba będzie użyć ukrytego w kredensie kluczyka – powiedziała mama. – Najpierw jednak zjemy śniadanie.

Niedzielnny rytuał polegał na: niespieszeniu się z niczym, smażeniu racuszków z jabłkami, piciu kakao i snuciu planów. Dziś postanowiły ograniczyć się do gorących, posypanych cukrem pudrem jabłek

w cieście i słodkiej ambrozji, pachnącej Indiami, bo dodały do kubeczków z napojem szczyptę cynamonu.

Usiadły razem przy stole, a mama oparła na blacie łokcie, wpatrując się z uśmiechem w córkę. Adela połykała duże kęsy, bardzo się spieszyła, wyobrażając sobie zawartość kufrów. Może to były zioła z całego świata? A jeśli wujek kolekcjonował białą broń? Będzie mogła zaprosić przyjaciół i powalczyć ze sobą na niby na strychu, to świetne pole biwy, bo puste. Czy się jej zaświeciły na samą myśl, że może się tyle wydarzyć.

– To co? Gotowa? – spytała z uśmiechem mama.

Dziewczynka, wyrwana z zamyślenia, spojrzała na mamę, która otworzyła szufladę w kredensie i wyjęła z niej ukryty tam klucz. Wylądował w kieszeni jej spódnicy.

– Gotowa na wszystko! – zwołała radośnie Adela i wystartowała jak z procy w kierunku pierwszego z dwóch kufrów.

Większy z nich zaskrzypiał. Jakby nie coś tylko ktoś krył się w środku.

– Mamo...? – spytała niepewnie.

– Też to usłyszałam. – Mama zrobiła wielkie oczy. – A jeśli to mysz?

– Przestań mnie straszyć! – pisała dziewczynka. – Jeśli tam są myszy...

– Żartowałam. – Mama śmiała się jak nastolatka. – To deski podłogi skrzypią, bo miotasz się jak ryba w sieci.

Usiadły na podłodze po turecku. Adela przyglądała się z bliska starej kłódce. Był w niej niewielki otwór, w sam raz na drobny metalowy przedmiot. Gdy mama wyciągnęła z kieszeni niewielki kluczyk, Adela



wydała jęk zachwytu. Klucz miał wykuty na powierzchni kółka delikatny wzór kwiatu lili. Jakby ktoś w innej, odległej epoce zadbał o to, by nie tylko działał, ale też pięknie wyglądał.

– Jest bardzo stary, prawda? – dopytywała się Adela.

– Starszy niż wujek, a nawet babcia czy dziadek, może nawet starszy niż ten stół. – Mama wskazała stojący w kuchni mebel sprzed wieków.

Spojrzała na Adelę i wsunęła delikatnie klucz w zamek kłódki. Coś chrupnęło i wieko odskoczyło z hukiem. Drobiniki kurzu zatańczyły w powietrzu i dziewczynka kichnęła tak głośno, że siedzące na parapecie gołębie zerwały się do lotu.

Na samym wierzchu leżał wielki rulon. Pod nim kryły się jakieś ubrania. Wyglądały na bardzo

stare. Jedno z nich, na samej górze stosu, przypomniało Adeli sen o panience w pelerynie, w tym samym kolorze, granatowej jak niebo nocą.

– Mamo, zobacz, jakie skarby! – krzyknęła. – Chciałabym...

– Poczekaj, sprawdzimy, co to za rulon, dobrze? – studziła jej zapał mama. – Pewnie jest najważniejszy.

– Może to mapa, która wskaże nam drogę do wujka? – zgadywała Adela. – I po pięciu latach wreszcie go odnajdziemy.

Mama wyjęła ostrożnie rulon. Był tak kruchy, że przez moment wydawało się, iż rozsypie się w palcach. Położyła go na podłodze i westchnęła. Potem pociągnęła za wstążkę, którą był związany. Rulon się rozwinął. Adela przytrzymała delikatnie jeden jego brzeg, mama drugi i pochyliły się nad nim, aby zobaczyć, co przedstawia. Była to mapa. Szkic poznańskiego rynku, ale jakiś dziwny, bo nie wszystkie kamienice, które znały zostały na nim zaznaczone.

– Mamo, to nie jest dżungla... – w głosie Adeli słychać było rozczarowanie.

– To bardzo stara rycina, ciekawe, skąd się wzięła w domu wujka. Powinnyśmy ją chyba oddać do muzeum – mówiła mama z wahaniem, bo trudno byłoby się jej rozstać z przedmiotem należącym do brata.

Adela pochyliła się nad rozwiniętym rulonem. Niemal dotknęła go nosem. Poczula woń kwiatów, tak silną, że zakręciło jej się w głowie. Przymknęła powieki i nagle świat zawirował. Gdy otworzyła oczy, ujrzała nad sobą czyjąś twarz. Ten ktoś spoglądał na nią z lekkim przestrawieniem. Była to dziewczynka z zadartym nosem i długimi czarnymi włosami, które, nieposłuszne, kręciły się i uciekały spod kaptura granatowej peleryny.

– Podnieś się, Adelo, mistrz będzie na nas zły. Ale ty jesteś niezdarna! Wystarczy skórka jabłka

pod trzewikiem i padasz jak długa – zawołała dziewczynka i pociągnęła ją mocno za rękę. – Kupcy czekają, mamy dla nich cały kosz zamówionych ziół. Mistrz, powiedział...

– Chwileczkę! – Adela przyklęła i poczuła, że nadal kręci jej się w głowie. – Gdzie ja jestem?

– Jednak upadłaś na głowę, myślałam, że tylko na plecy, wstawaj przyjaciółko! – Dziewczynka zaśmiała się i zakotłosała w powietrzu koszem, jak wahadłem zegara – No już, idziemy!

Są w życiu takie chwile, kiedy nie należy się wahać. Jeśli we śnie pojawiają się zapachy roślin, a ktoś nosi dziwnie znajomą pelerynę, trzeba uwierzyć w jego istnienie. Więc Adela dała się poprowadzić do domu mistrza, pomagając dziewczynce nieść kosz.

Stały teraz przed jej kamienicą przy rynku. Na tabliczce na murze widniał numer czterdzieści dwa. Znajoma płaskorzeźba przedstawiała białego orła. Obok znajdowało się wejście do apteki. Adela pomyślała, że czas się cofnął, to więcej niż pewne. I co teraz ma zrobić? Jak wrócić? Drżały jej nogi i musiała mocno zblednąć, bo dziewczynka ze snu postawiła kosz na ziemi i objęła ją ramieniem.

– Nie bój się, on tylko udaje złego, gdy się spóźnimy. A poza tym i tak niedługo wyjedzie. Popłynie statkiem do dalekich krain po zioła i przyprawę, zobaczysz – starała się ją pocieszyć.

Adela nie bała się mistrza, kimkolwiek by nie był, straszniejsza okazała się świadomość, że może nigdy nie wrócić do domu. Musiała więc rozwikłać tę zagadkę. I to natychmiast, zanim mama zorientuje się, że zniknęła.

– To od tego upadku – odparła niewyraźnie, nie patrząc w oczy nieznajomej. – Nadal kręci mi się w głowie. Chodźmy!

Drzwi okazały się cięższe, niż przypuszczała. Pchnęły je z całej siły. Pomieszczenie apteki tonęło w mroku. Stały tam na półkach mikstury ze starannie wykalfigrafowanymi nazwami na każdej butelce, słoiczki z maściami na różne schorzenia, ustawione rzędem pod ścianą worki pełne przypraw i ziół. Ich widok sprawił, że Adela zapomniała o lęku i podziwiała teraz ten niezwykle, wysnuty z przeszłości świat.

– Ależ tu pięknie... – wyszeptała. – Chciałabym to miejsce pokazać mojej mamie...

– Nareszcie! – rozległ się mocny głos i z zaplecza wyłonił się wysoki mężczyzna.

Miał na głowie dziwne nakrycie, ale i tak Adela rozpoznała go w okamgnieniu.

– Wujek! – zawołała, rzucając mu się na szyję. – A jednak się znalazłeś.

– No, no, moja panno, spokojnie. Po kolei. – Krótco się zaśmiał, rozbawiony jej zapałem. – Przyniosłyście wszystko, o co prosiłem?

– Tak, panie – odparła dziewczynka w pelerynie – Cały, calusieńki kosz.

W drzwiach pojawili się tragarze. Nosili brody, a za pasem każdy z nich miał sztylet. Adela pomyślała, że w obecnych czasach są kurierzy, jednak nie noszą przy sobie białej broni.

– Zabierzecie ładunek do alchemika z wybrzeża – oznajmił mistrz. – Pospieszcie się, chorzy czekają na lek.

Mężczyźni uklonili się, wrzucili wszystko do worka i zniknęli w jasnym prostokącie drzwi. Zapadła cisza.

– Wujku... – onieśmielona Adela odezwała się tak cicho, aby nikt poza nim jej nie usłyszał. – Czy wrócisz ze mną do domu?

– Adelo – wuj spojrzał na nią z powagą – czeka mnie jeszcze wiele ważnych zadań, muszę pomóc

ludziom, ale obiecuję ci, że wrócę, może już za rok, kto wie? – Uśmiechnął się z lekkim smutkiem. – Usiądź, proszę, i odpocznij.

Adela dała się poprowadzić do wielkiego fotela, który krył się w kącie apteki. Na taborecie obok leżała księga ziół. Sięgnęła po nią bez pytania. Pełno w niej było rysunków i gdy odwróciła kolejną stronicę, ujrzała znajomą rycinę. Taka sama wisiała nad jej łóżkiem. Dziewczynka przymknęła oczy i położyła głowę na oparciu fotela. I od razu zapadła w sen.

W pokoju paliła się nocna lampka. Adela nie wiedziała, jak minął dzień, nic nie pamiętała, poza uczuciem szczęścia i spokoju, które przywitały ją, gdy tylko rozwarła powieki. Mama układała poduszki, spoglądając na nią spod oka. W znajomym pokoju stały skrzynie wuja. Na stoliczku przy łóżku leżała koperta.

– Nie przeczytasz? – spytała z uśmiechem mama. – To list od wuja, wyjęłam go ze skrzynki.

Adela ujęła ostrożnie przesyłkę. Wyciągnęła z koperty kartkę i zaczęła czytać:

– „Kochani, zniknąłem na ponad pięć lat w ważnych sprawach, ale za rok wracam. Czekać na mnie i ślijcie mi dobre myśli. Wasz Wincenty”.

Dziewczynka rzuciła się мамie na szyję.

– A więc to prawda! – zawołała.

Nagle wszystko sobie przypomniała.

– Napisał i wiadomo, że prawda, bo to jego charakter pisma. Tata nie może się nacieszyć. No, Adelo, czas do łóżka! – powiedziała stanowczo mama i pocałowała ją na dobranoc.

Gdy mama wyszła z pokoju Adela wyjęła z szuflady pamiętnik i zapisała: *Dziś był dziwny dzień.*

Przeniosłam się w czasie i poznałam dziewczynkę, która jest w moim wieku. Może ją jeszcze kiedyś spotkam? Widziałam aptekę. Wujek opiekuje się miastem. Muszę na niego poczekać.

Zamknęła notes i ukryła go głęboko pod szkolnymi zeszytami. Nie miała pojęcia, jak wróciła z apteki, której już nie ma, prosto do swojego pokoju i dlaczego jest w nocnej koszuli. Nie wiedziała też, co jest prawdą, a co złudzeniem.

Adela podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. W cieniu ratusza, ktoś się krył. Była to dziewczynka. Miała na sobie ciemną pelerynę. Gdy spostrzegła Adelę w oknie kamienicy Pod Białym Orłem, uniosła dłoń i pomachała. Przez Rynek przegalopował koń bez jeźdźca. Adela odwzajemniła ten gest. I zrozumiała w jednej chwili, że można żyć w dwóch światach. Wystarczy tego mocno pragnąć, a na pewno się uda.

KONIEC

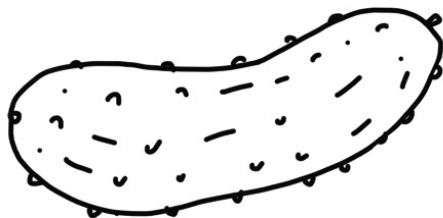
Zadania:

1. Sprawdź, jakie macie zioła w kuchni. Zróbcie zawody. Jedna osoba zamyka oczy i musi rozpoznać jak najwięcej ziół tylko przy pomocy węchu. Kto wygra?
2. Narysuj skrzynię wuja z opowiadania. Nie zapomnij o zdobionej kłodce.
3. Jak myślisz, jaką moc ma granatowa peleryna? Co staje się po jej założeniu?
4. Znajdź stary zeszyt i razem z rodziną załóżcie zielnik. Z każdego spaceru przynieś znalezione na łące lub trawniku zioła i zasusz je. Następnie z pomocą Internetu lub książek postaraj się odgadnąć, co to za roślina i jakie ma właściwości. Zapisz je w zielniku.

UŁÓŻ JAK NAJWIĘCEJ
WYRAZÓW Z LITER SŁOWA:

PRZYTENEGOWAĆ

PODCHWYTLIWY REBUS



ÓR
↺ ↻



~~SPO~~

П

Ny

Niełatwe życie Mirabelli Czyżyk

Mirabella Czyżyk nie ma łatwego życia.

Jak na młody wiek, a niedawno skończyła osiem lat, ma bardzo dużo na głowie. Po pierwsze jest jedynaczką, a Mirabella odkąd pamięta, pragnęła posiadać młodszego rodzeństwo. Nawet kiedyś zapytała Mamę i Tatę, czy pod choinkę mogłaby dostać braciszka albo siostrzyczkę – wszystko jedno. Tato (ma na imię Robert) odpowiedział, że dziecko to nie pies, że nie można go tak sobie po prostu chcieć. Z kolei Mama (wszyscy mówią na nią Magda) nerwowo stwierdziła, że nikt nie będzie za nią decydował w kluczowych kwestiach.

Po drugie Mirabella ma na imię Mirabella i choć stara się tym nie przejmować, to kiedy inne dziecko, a nawet dorosły ją przezwie lub wyśmiej, dziewczynka marzy o tym, aby ponownie ją ochrzczono, byleby z imieniem Hania, Zuzia albo Ola. Przez to dziwaczne imię nikt nie traktuje jej poważnie. Nie pomaga również fakt (czyli „po trzecie”), że rodzice stroją ją w falbany, tiule i koronki. Wszystkie ubrania ma różowe lub fioletowe. Mirabella szczególnie nie trawi tego ostatniego koloru, bo czuje się w nim jak włosy babci Mirki. Co więcej („po czwarte”!) Mama i Tata pasą ją na potęgę. Przez co Mirabella jest okrągłutka jak owoc, od którego jej imię pochodzi. Każdorazowo, kiedy dziewczynka pałaszuje bezę lub makaronik, Tato mówi: „Jedz, byś miała lepiej niż my” – czego jego córka w ogóle nie rozumie, bo przecież rodzice mają to wszystko, co ona, a nawet więcej, posiadają coś, o czym niemal każdego dnia marzy – mogą za siebie decydować.

Tak jak przy wyborze rozrywki po szkole. Mirabella wolałaby bawić się na placu zabaw koło swojego bloku na Jeżycach albo pójść na spacer na Cytadelę, a nawet – o zgrozo! – pogapić się na znudzone zwierzęta w Starym Zoo. Tymczasem Mama z Tatą zmuszają skwaszoną córkę do odwiedzin w Muzeum Narodowym, CK Zamku i Muzeum Sztuki Użytkowej w Zamku Gargamela. Na imieninach, urodzinach i innych spotkaniach z dorosłymi, wypychają Mirabellę na środek, każą recytować Szymborską, po czym opowiadają, jaka to ich córunia jest inteligentna. Nazywają ją przy tym: „Staramaleńka” i choć Mirabella nie rozumie też tego określenia, to brzmi jej ono niczym przezwisko. Przy takich okazjach chciałaby się czymś wykazać, aby w końcu zaczęto brać ją na serio.

Czego dziewczynka nie wie, kiedy za rodzicami wchodzi do Galerii Miejskiej Arsenał, niebawem dostanie taką szansę.

Czyżkowie najpierw mijają księgarnię, a następnie wspinają się po schodach.

– Chodźcie jej poszukamy – rzuca Tata.

Mowa o jego siostrze Izce. Wystawa, w której bierze udział odbywa się na pierwszym piętrze budynku, gdzie zaciemniono wszystkie okna, aby stworzyć troszkę mroczną atmosferę.

– No cześć, kochana! – woła Mama do cioci Izki. – Ale masz super buty!

Faktycznie. Ciocia Izka włożyła szpilki w ostrym pomarańczowym kolorze.

– Dzięki... – smutnym głosem szepcze kobieta.

– Gdzie twoja praca? – pyta Mama, ignorując podły nastrój szwagierki.

– A nic mi nawet nie mów! – ciocia Izka mówi drżącym głosem i pokazuje na coś w kącie: – Tam ją

upchnęli.

Mirabella podąża za palcem cioci, ale jest za niska, by cokolwiek dostrzec. W polu widzenia ma tylko tłum dorosłych.

– Bo nas połkniesz, dziecko – syczy ostrzegawczo Tato, kiedy dziewczynka ziewa z otwartą buzią, po czym mówi do siostry: – Izka, pięknie wyrzeźbiłaś!

Mirabella obserwuje jak Mama z aprobatą przyklaskuje słowom Taty.

– Ale i tak faceta dają na środek! – z żalem stwierdza ciocia Izka. – Jeszcze się przechwala, że zrobił tę pracę na Majorce, z której niedawno wrócił. Wielki pan artysta...

– Przesadzasz... – odparowuje Tato.

– Wiesz, że ten gn... – syczy ciocia Izka, po czym niepewnie spogląda na bratanicę. – Ten niemiły człowiek powiedział, że jego dzieło sztuki musi być ustawione w odległości przynajmniej dwóch metrów od innych prac?! Najchętniej zniszczyłabym mu ten bohomas!

Mirabella ze zdziwieniem przygląda się cioci. Przecież to jasna sprawa, że nie można niszczyć rzeczy innych. Rodzice uczą tego od najmłodszych lat. A może ciocia Izka nikt o tym nie powiedział?

– Gdzie ta praca? – pyta Mama.

– Tam.

Tym razem Mirabella wszystko widzi. Na środku stoi okazałych rozmiarów drewniana skrzynka, na której znajduje się przezroczysty worek z trocinami i porcelanową figurką. Czy to jest to sławne dzieło „wielkiego pana artysty”, który tak zdenerwował ciocię? Mirabella może nie jest znawczynią, ale według niej nie ma

o co się tak wkurzać. Tyle jest ważniejszych rzeczy, na przykład nowa lala L.O.L. Surprise, o której Malwina z jej klasy gada jak najęta. Niespodziewanie dziewczynka czuje wielkie zmęczenie. Powstrzymuje ziewanie.

– Mała, nigdy nie bądź artystką – ciocia Izka zwraca się do bratanicy. W jej głosie słychać rozdrażnienie.

– Spoko – Mirabella odpowiada zgodnie z prawdą.

Ani jej się śni zostawanie rzeźbiarką, malarką albo pisarką. Ma po dziurki w nosie obcowania ze sztuką, nawet własną. Dziękuje bardzo. Dziewczyna ma plan: jak dorośnie zostanie programistką albo do końca życia będzie wyprowadzać psy za pieniądze. Jeszcze nie zdecydowała.

Tymczasem Mama bierze córkę za rękę i razem kierują się do obrazów rozwieszonych w przestrzeni Galerii. Ciocia Izka nerwowo rozgląda się po twarzach zebranych.

– Będę za sekundkę! – woła i po chwili znika w tłumie.

– Gdzie ona poszła? – pyta podejrzliwie Mama.

– Zawsze myślała, że pozjadała wszystkie rozumy – konspiracyjnie szepcze Tata. – Przesadza z tym ustawieniem jej rzeźby. Co za różnica?

– Widać, że nigdy nie byłeś kobietą – mówi ostro Mama i odchodzi od męża, ciągnąc córkę za sobą.

– Ała! – kwili Mirabella, ale nikt nie zwraca na nią uwagi.

– Madzia, coś ty?! – woła Tato, próbując dotrzymać im kroku.

Jest coś bardzo dziwnego w zachowaniu ciotki Izki, Mirabella stwierdza w myślach. Wzrokiem sunie po bu-

tach dorosłych. W końcu dostrzega charakterystyczne pomarańczowe szpilki. Po chwili obok nich ustawiają się czerwone adidasy.

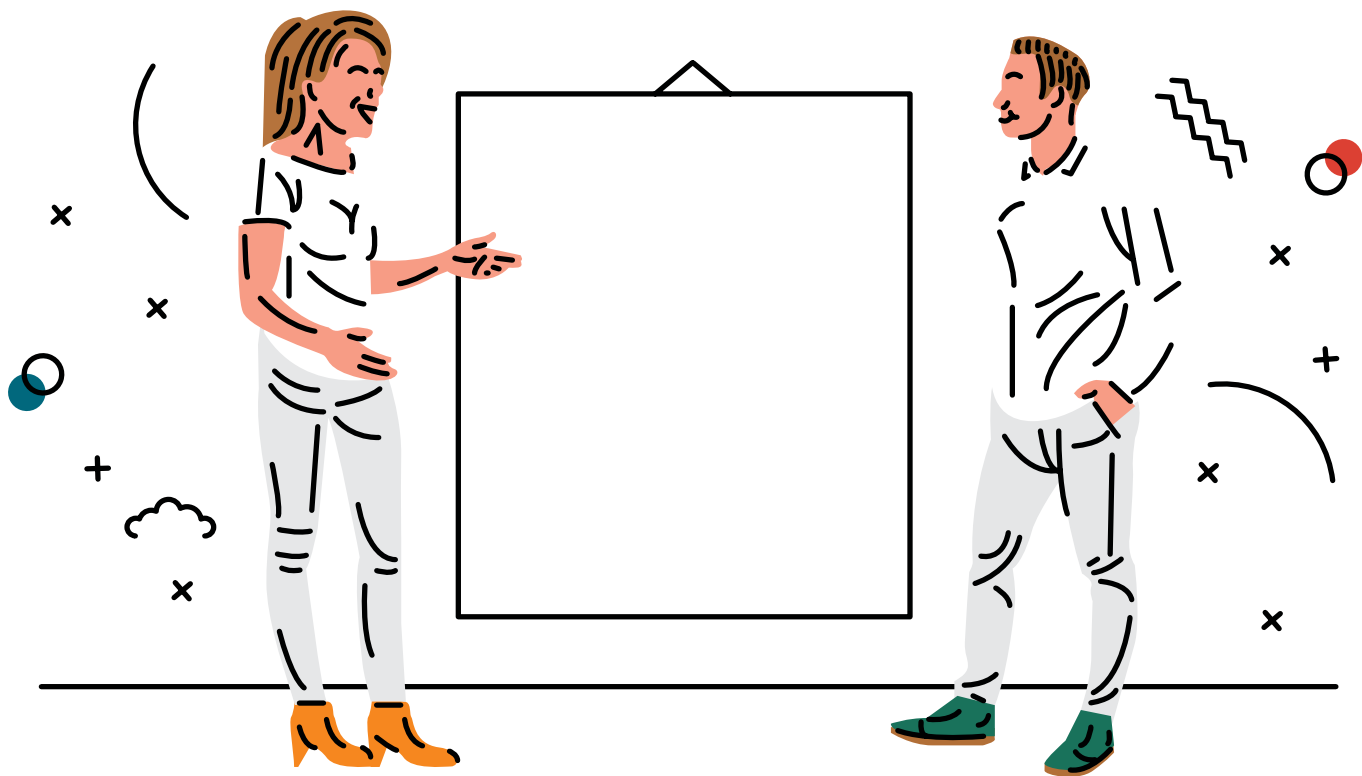
– Magda, o co ci znowu chodzi, do jasnej anielki?! – syczy mężczyzna do żony.

– Domyśl się lepiej! – odparowuje Mama, lampiąc się na niebieski portret w ciężkiej, rzeźbionej ramie.

– Daj spokój, proszę cię! – błaga Tato.

Mama puszcza dłoń córki, bo wchodzi w swój tryb nadmiernej gestykulacji. Tę sytuację wykorzystuje Mirabella i oddala się od sprzeczających się rodziców. Zajęci sobą, nie zwracają na nią uwagi. Ma to już dobrze obcykane! Tyle tylko, że zazwyczaj zamyka się w swoim pokoju.

Teraz dziewczynka zakrada się w kierunku pomarańczowych szpilek i czerwonych adidasów. Chowa się za ścianką działową. Nad głową ma kolejny obraz, tym razem z trzygłową postacią z podpisem „Polska”. Kuka zza rogu. Widzi, jak ciocia Izka rozmawia z łysym panem w czerwonych butach. Nerwowo gestykuluje i wzburzona mówi coś, czego Mirabella nie słyszy. „Wielki pan artysta” odpowiada, a jego twarz przybiera kolor adidasów. Dziewczynka oddałaby wszystko, aby poznać przyczynę tej kłótni! Pragnienie staje się intensywniejsze, kiedy ciotka Izka, nie zważając na kręcących się wokół ludzi, ciągnie mężczyznę za rękę. Mirabella wybałusza oczy. Nigdy nie widziała siostry Taty tak zdenerwowanej. Pan w czerwonych butach nie poddaje się kobiecie, a ta rusza do skrzynki z pracą. Dziewczyna widzi, jak mężczyzna rozpina czarną obszerną kurtkę, którą ma na sobie. Kiedy ciocia dociera na sam środek Galerii Miejskiej Arsenał...



PSTRYK!

Gasną wszystkie światła.

- O matko! – po chwili ktoś krzyczy.
- Co się stało?! – woła inna osoba.
- Co to za głupie żarty?! – dociera niski głos.

Mirabella, mimo że trochę boi się ciemności, stara się nie panikować. Już dawno przestała wierzyć w Wróżkę Zębuszkę, Babę-Jagę i wszystkich świętych, chociaż jeszcze nie powiedziała tego rodzicom. Teraz, kiedy ze wsząd słyszy piski i złorzeczenia, nieruchomieje przy ścianie i z nerwów zaciska dłonie w pięści.

- Proszę państwa, proszę o spokój! – ponownie rozbrzmiewa niski głos.
- Mirabella! – przedziera się znajomy głos Mamy.
- Tutaj! – wykrzykuje dziewczynka.
- Nie widzę cię – woła Mama.
- No, co ty nie powiesz! – mówi Tata, by po chwili wrzasnąć: – Ała!

Słyszą szamotaninę. Czy to ludzie wpadają w panikę i chcą się przepchnąć do wyjścia? Mirabella mocniej przyciska się do ściany. Bardzo chciałaby przenieść się teraz do swojego pokoju. Światło na powrót rozbłyśkuje. Zgromadzeni oddychają z ulgą.

- No i po krzyku – słyszą niski głos.

Nagle wszyscy głośno wciągają powietrze. Mirabella wychyla się zza ściany.

- O matko! – ktoś krzyczy.

Ciocia Izka, „wielki pan artysta” i mężczyzna (zważywszy po źle dobranym fraku musi być dyrektorem tej instytucji) gapią się w miejsce, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się praca artysty, a teraz stoi tylko pusta skrzynka.

– Ktoś ukradł moje dzieło sztuki! – skomle artysta. Jego twarz jest blada jak u trupa, tak inna niż opalenizna na jego rękach.

W Galerii trwa wielkie poruszenie. Mirabella jest coraz bliżej cioci Izki, która przerażona zakrywa dłońią usta.

– To ona! – dalej krzyczy artysta, tylko tym razem wskazując palcem na ciocię.

Jego zachowanie przypomina Mirabelli zajęcia na placu zabaw, kiedy to koleżanki i koledzy też wytykają dziewczynkę palcem, mówiąc, że jest dziwna. Mirabella z wściekłości ponownie zaciska dłonie w pięści.

– Słucham?! – piszczy ciocia Izka.

– Od początku zazdrościłaś mi, że moje dzieło sztuki tutaj stoi, że jest w centrum... – krzyczy artysta. – Jeszcze przed tym, jak zgasiły światła mówiłaś mi, jaka to wielka niesprawiedliwość cię spotyka!

– Rysiek, nie rób scen – mówi dyrektor, ale jego słowa nie przynoszą rezultatu.

– Iza, czy to prawda? – słycać głos Taty.

– No już naprawdę, przesadzasz! – warczy Mama.

– Ale, że co? – pyta Tata.

– Niczego nie ukradłam! – wykrzykuje ciocia Izka, a jej głos jest silny, jak nigdy dotąd.

Mirabelli słowa cioci dają do myślenia. Tym bardziej, że dostrzega na butach „wielkiego pana artysty” jasne smugi. Po chwili jasne kupki – jakby proszku – widzi usypane tuż za jego plecami. Są niewielkie, wyglądają

jak okruszki z bajki o Jasiu i Małgosi. Ignorowana przez wszystkich dziewczynka podąża za okruszkami, które prowadzą za kotarę.

– O ja cię! – wykrzykuje Mirabella.

Okruszki w rzeczywistości są trocinami, które w sporej ilości walają się po pomieszczeniu. Na kupce leży czarna kurtka. Mirabella przypomina sobie, że artysta przed zgaszeniem światła miał ją na sobie. Teraz prezentuje swoją opaleniznę. Podnosi kurtkę i dostrzega przezroczysty worek z figurką w środku oraz pozostałymi trocinami; reszta musiała wysypać się z dziury z boku worka. Krzywi się i wybiega z pomieszczenia.

– Tam jest dzieło sztuki! – wykrzykuje i pokazuje na kotarę.

To dziwne uczucie, przyznaje dziewczynka w myślach, kiedy wszyscy na nią patrzą i do tego jej słuchają. Po chwili dorośli mijają ją i biegną zobaczyć znalezisko.

– Rysiek, a to nie twoja kurtka? – Mirabella słyszy głos dyrektora.

– Ukradłeś swoją pracę? – pyta z drwiną ciotka Izka.

– Nie, wcale nie – szepce wielki pan artysta.

– Ukradł! – krzyczy tłum.

– Chciałem... chciałem... aby kradzież zwiększyła jej wartość rynkową – mówi w końcu artysta.

Dziewczynka wzrusza ramionami. Nic z tego nie rozumie. Po chwili przystają przy niej rodzice.

– Brawo, córko! – mówi Tato.

– Jestem z ciebie taka dumna – dodaje Mama.

Mirabella uśmiecha się. Może zamiast bycia programistką, powinna zostać detektywką? Psy może wyprowa-

dzać w wolnej chwili, stwierdza. Teraz ma jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

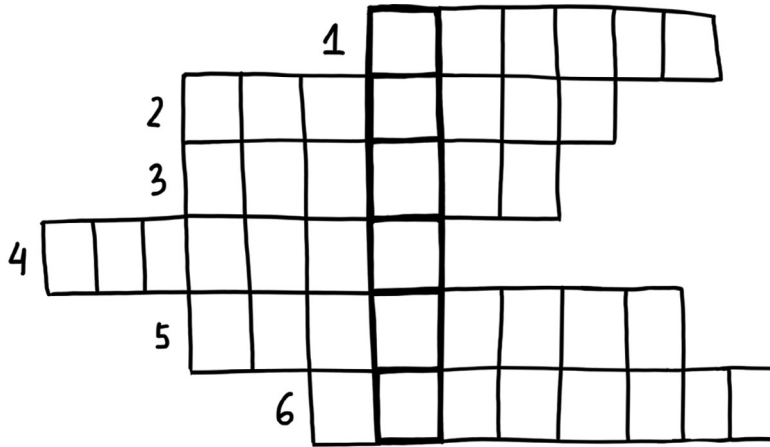
– Tatusiu – mówi, patrząc na niego. – Chyba powinienś przeprosić ciocię Izkę, wiesz?
Twarz Taty pokrywa rumieniec, a Mama śmieje się urzeczona.

KONIEC

Zadania:

1. Mirabella wybrała żywot detektywa. Jakie przedmioty będą jej potrzebne do wykonywania zawodu? Stwórz listę.
2. Jak wyglądała figurka, która stanęła na środku galerii? Narysuj ją.
3. Ciocia Izka uwielbia kupować buty. Ostatnio kupiła dwie pary tych samych szpilek w różnych kolorach (miętowym i łososiowym) i kozaki z brokatem za 860 złotych. Ile kosztowały miętowe buty, skoro za kozaki zapłaciła 360 złotych?
4. Zamień dom w galerię sztuki. Razem z rodzicami, tak jak w muzeach lub galeriach, zróbcie tabliczki z opisami przedmiotów, które wiszą u Was na ścianach. Zamieniajcie się rolami i jako przewodnicy opowiadajcie o zaznaczonych eksponatach. Kto wymyśli najśmieszniejsze historie?

ROZWIĄZ KRZYŻÓWKĘ



1. Metalowe albo plastikowe,
np. do mycia podłogi.
2. Z gładkim w środku.
3. Obuwie „po domu”.
4. Maty śmieć, lub okruszek.
5. Inaczej ziemniak.
6. Część stopy.
Stoż lub z sezamem.



Legenda o Gołębiu z Ratuszowej Wieży

Dzień dobry, dzień dobry, uszanowanko! Dawno kochanieńkich was tu u mnie nie było! A że tak tradycyjnie zapytam, mają może kochanieńcy jakimś przypadczkiem przy sobie parę drobnych okruszków? Kawałeczki bułeczki, drobiazgi po sznece, ciasteczko, wafelek, może być wczorajsze wszystko, ja wybredny nie jestem... A co wy tak patrzycie? A wy mnie, kochanieńcy, nie poznajecie? A przecież my się znamy! No! A przecież to ja, Gołąb, niedawno mijaliśmy się na Jeżycach, a potem jeszcze na Śródcie ja po was pączka kończyłem. Jak to jaki Gołąb? No Gołąb, ten Gołąb, jeden jedyny! Nie no, ja wiem, że trochę tutaj nas, prawda, kolegów i koleżanek jest, ale żeby mnie z innymi gołębiami mylić, to ja się chyba muszę na was, kochanieńcy, pogniewać... No przecież ja jestem ten słynny Gołąb! Naprawdę nie znacie Legendy o Gołębiu z Ratuszowej Wieży?! Cóż, być może dlatego, że to całkiem świeżutka legenda, dwudniowa. Znaczy przydarzyła się przed-wczoraj i jest jeszcze całkiem żywa. Tak, kochanieńcy, patrzycie na żywą legendę. Na chodzącą legendę! Na drepczącą w zasadzie w kółko wokół waszych butów legendę, legendę bardzo głodną i bardzo liczącą na parę drobnych okruszków... Parę niewielkich... suchych... nikomu niepotrzebnych...

Ja, tej...! No dobrze, rozumiem. Opowiem wam tę Legendę, nie ma nic za darmo, w końcu jesteście w Poznaniu, co nie?

A zatem wyobraźcie sobie, że stoimy tu, na naszym poznańskim Starym Rynku. Czekamy sobie spokojnie pod Pręgierzem. Jest ciepło, taki, dajmy na to, lipiec. Niech będzie, że jest upał. Nieopodał kupiliśmy lody w ulubionym smaku, które topią się w prażącym słońcu, niepostrzeżenie spływając słodkim strumykiem po łokciu i kapiąc rytmicznie na kocie łby. Ach, byłbym zapomniał, ukruszył nam się spory kawałek wafelka, on także spadł na bruk, ale nie poleżał długo. Dookoła nas pełno ludzi. Głównie turyści. Dwie japońskie wycieczki, ich uczestnicy grzebią w swoich aparatach lub fotografują kolorowe domki budnicze. Wszędzie biegają radosne dzieci – im upał niestraszny. W ogródkach ludzie i gołębie leniwie spędzają czas sącząc frappe i koktajle (ludzie), skubiąc resztki gofrów i tart (gołębie), wystawiając twarze i dzioby do słońca... Czas płynie powoli, powietrze jest lepkie, ciężkie i słodkie od upału... Macie to, kochanieńcy? Czujecie słońce na skórze? Świetnie. A zatem jesteśmy na Starym i czekamy. Niby wcale nie, prawda? Niby to atrakcja tylko dla turystów, a my, poznaniacy, nie musimy ponownie oglądać trykających się Koziołków... Ale kiedy już znajdziemy się tu, na Starym, w okolicach południa, to zawsze jakoś tak przypadkiem wędrujemy pod ścianę frontową Ratusza i zawsze jakoś tak przypadkiem zerkamy w stronę zegara... Nie znam nikogo, kto nie lubi patrzeć, jak punkt dwunasta otwierają się małe blaszane drzwiczki, a światu ukazują się dwa rozbrykane Koziołki. Ja też lubię ten moment. No dobrze, a więc czekamy. Niech będzie za pół minuty dwunasta. Lody w ulubionym smaku prawie wylizane, biegające dookoła urwisy zatrzymały się na chwilkę. Aparaty japońskich

turystów w pełnej gotowości celują w wieżę. Wszyscy osłaniają oczy przed słońcem. Duża wskazówka powolnym ruchem przetacza się o te kilka centymetrów w górę i ratuszowy zegar wybija południe: Bam! Uruchamia się mechanizm blaszanych drzwi. Bam! Skrzydła drzwiczek rozchylają się! Bam! Wyjeżdża platforma na której... nikt nie stoi. Bam! Bam! Bam! W rytm bicia zegara opadają szczęki poznaniaków i turystów. Bo jak to tak? Koziółków nie ma? Przecież to niemożliwe! To się nigdy nie zdarzyło! To jest koniec świata! Pewna starsza niewiasta mdleje. Ojciec gromadki dzieci wygraża w stronę Ratusza pięścią. Japończycy... No cóż, Japończycy robią bardzo dużo zdjęć. Pojedynczy płacz dziecka. Po chwili kwili drugie. I już zaraz wszystkie dzieci drą się w niebogłosey. Jakaś kobieta krzyczy, jakiś młody człowiek rwie włosy z głowy. Gdzie Koziółki? Co się z nimi stało? Czy ktoś je zabrał?! Porwał, uprowadził?!

Tak... Właśnie takie zadawaliście sobie pytania, prawda? I być może to wy, kochanieńcy, bylibyście tymi płaczącymi dziećmi, tą omdlałą damą, tym groźnym ojcem dużej rodziny. Tak by było! Ale zaraz... widzę wasze miny. Bo coś tu nie gra, prawda? Coś ten Gołąb kręci. Przecież gdyby faktycznie przedwczoraj miała miejsce taka tragedia, dziś trąbiłoby o tym całe miasto! Przeczytalibyście o wszystkim w gazetach, na portalach internetowych, w lokalnych telewizjach eksperci biliby na alarm. „Oddajcie nam Koziółki!”, „Poznań bez Koziółków jak szneczka bez glanca!”, „Żądamy trykania!” – takie transparenty nosiliby teraz ludzie na Starym. A rozejrzyjcie się – co noszą? Balony. Nie jesteście głupi, kochanieńcy, wy już dobrze wiecie, że

platforma, która przedwczoraj wysunęła się z ratuszowej wieży nie była pusta. I pewnie domyślacie się, kto na niej stanął w zastępstwie. Ale nie wiecie dlaczego...

Żeby odpowiedzieć na to pytanie musimy jeszcze odrobinę cofnąć się w czasie. O jakieś... parę godzin. Co, spodziewaliście się, że cofniemy się w czasy stworzenia Koziółków? A może nawet wybudowania poznańskiego Ratusza?! Oj, kochanieńcy, wiecie przecież dobrze, że ja aż tak długo nie żyję. Nie, nie, cofamy się jedynie do wieczora sprzed trzech dni. To musiał być już późny wieczór, bo układałem się właśnie do snu w moim uroczym gniazdku na gzymsie Domu Pisarza... Dookoła było cicho... Chociaż nie, z rynkowych ogródków dochodziły gromkie wybuchy śmiechu, głośna muzyka... My, mieszkańcy Starego jesteśmy do tych dźwięków przyzwyczajeni, właściwie ich nie słyszymy. A zatem spałem już prawie, gdy nagle usłyszałem straszną awanturę z wnętrza wieży. Ktoś krzyczał, ktoś chyba nawet płakał, jestem też pewien, że czymś rzucono. Podfrunąłem bliżej, nie z ciekawości, a z prawdziwej obywatelskiej troski... Rozumiecie, zwykle o tej porze z mieszkania Koziółków słychać rytmiczne pochrapywanie. Usiadłem na gzymsie wieży i oto co usłyszałem:

- Ja już dłużej nie mogę! – krzyczał jeden z Koziółków. – Nie! Nie uspokoję się! Ty musisz zrozumieć!
- Ależ rozumiem cię doskonale, Krystian... – zaczął drugi Koziółek.

Tutaj muszę zrobić małą dygresję. Oficjalnie nasze Koziółki nazywają się Tyrek i Pyrek, niektórzy

mówią na nie także Ejber i Gzub. Jednak ich prawdziwe imiona, takie, które same sobie nadały, to właśnie Krystian i Jeremi. Niewielu o tym jednak wie. I może lepiej, żeby tak pozostało... Ale wróćmy do awantury.

– Gdybyś naprawdę rozumiał, wyjechałbyś ze mną! – beczał Jeremi. – Wiesz, kiedy ostatnio byliśmy na dłuższych wakacjach?!

– Wiem. W tysiąc sześćset siedemdziesiątym piątym, gdy piorun uderzył w wieżę.

– No właśnie! To trochę dawno, nie uważasz?

– Krystian, ale my na tych wakacjach byliśmy do tysiąc dziewięćset trzynastego. Czyli prawie dwieście czterdzieści lat – mówił Jeremi spokojnym głosem. – Nie zdołałeś przez ten czas odpocząć?

– Zdołałem, nie zdołałem, znów jestem zmęczony – Krystian westchnął głęboko. – Te upały mnie wykończą, przecież pod tym blaszanym dachem jest milion stopni! Jeremku, braciszku, wyjedźmy! Choć na jeden dzień!

– Bardzo bym chciał – odparł Jeremi, – ale to niemożliwe. Wiesz, co tu się stanie, gdy o dwunastej nie staniemy na platformie? Wiesz, czym jesteśmy dla Poznania?

Usłyszałem kolejne westchnięcie i odgłos siadania na podłodze.

– Wiem... – szepnął Krystian. – Jesteśmy symbolem.

– Tak, a symbole nie mogą sobie ot tak wyskoczyć na dzień w góry.

– Ależ mogą, Jeremku, mogą i ja ci to udowodnię!

I tutaj właśnie ktoś czymś rzucił. Potem okazało się, że to Krystian wierzgnął kopytkiem i wypiął się z zawiasów. Jeremi wtedy krzyknął:

– Braciszku, nie!

Ale drzwiczki zdążyły się otworzyć, a w nich stał już gotowy do drogi Krystian. Rozejrzał się i fiknął w dół.

– Na Pacanów! – zawołał, a potem dodał: – Albo nie, bo nie wiem gdzie to jest. No to w góry!

Obok mnie przegalopował Jeremi. Zleciałem niżej. Jeremiemu udało się dogonić Krystiana, więc awantura trwała w najlepsze na schodach Ratusza. Teraz mogłem zobaczyć, że kłótnia Koziołków poprzetykana była regularnym trykaniem – widać tak kłóć się koziołki.

Słyszałem strzępy rozmowy.

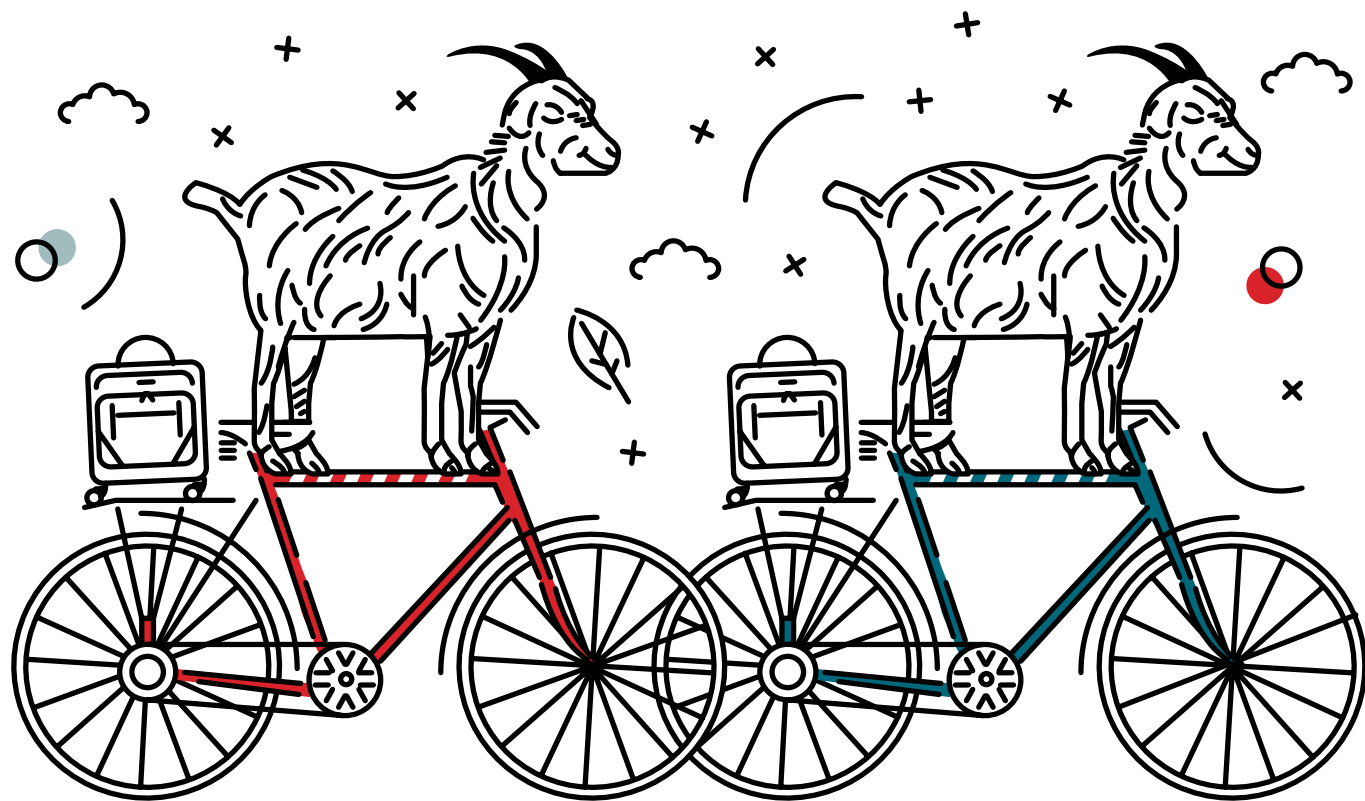
– To nasza praca! – Tryk.

– Jak się pracuje, to ma się czasami wolne! – Tryk, tryk.

– Ale my pracujemy tylko minutę dziennie! – Tryk.

– Ale codziennie! – Tryk. – Piątek, świątek i niedziela!

Koziołki kłóciłyby się pewnie i trykały znacznie dłużej i być może ten niecodzienny widok przyciągnąłby gapiów, gdybym bohatercko i bez strachu nie wkroczył... ja! Gołąb we własnej osobie. Stanąłem między



walczącymi Koziołkami i gruchnąłem na nie:

– Dość! – A potem musiałem gruchnąć jeszcze raz, bo za pierwszym razem nie usłyszały. – Dość!

Słyszycie? Halo! Tutaj, na dole. Gołąb mówi. Jedźcie sobie na wakacje.

Koziołki spojrzały na siebie, na mnie, a potem jeszcze raz na siebie.

– Jak to? – spytał Jeremi.

– Tak to – odparłem. – Zastąpię was. Mam duży talent aktorski, grałem już nawet w jednej sztuce teatralnej...

– Ty, Gołębiu, zastąpisz dwa trykające się Koziołki? – spytał Krystian z powątpiewaniem. Byłem jednak przygotowany na to pytanie.

– Oczywiście nie będę was naśladował – powiedziałem. – Zrobię coś autorskiego.

– Coś autorskiego? – Koziołki znów wymieniły się spojrzeniami.

– Mam w zanadru parę sztuczek.

Nie będę was dłużej zanudzał, jednym słowem udało mi się namówić Koziołki do wspólnej krótkiej wyprawy. Pojechały w góry, odwiedzić znajomą kozicę, z którą przez lata wymieniały listy. A ja, no cóż, rzeczonoego dnia punkt dwunasta, pojawiłem się na platformie pod zegarem ratuszowej wieży i... odańczyłem kilka układów baletowych z „Jeziora Łabędziego”. Tak, tak, wierście lub nie, wszystkie gołębie na świecie

wspaniale tańczą balet. Nie lubimy się tym jednak przechwalać, gdyż z natury jesteśmy bardzo skromne. Mój występ oczywiście okazał się prawdziwym sukcesem, dzięki czemu ten jeden jedyny raz godzina dwunasta na poznańskim Starym Rynku obyla się bez trykających się Koziółków i nikt z tego powodu nie ucierpiał. Nie wierzycie mi? Poszukajcie więc dwóch japońskich wycieczek. Oni zrobili bardzo dużo zdjęć.

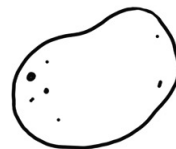
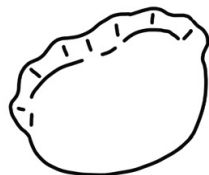
To jak, kochanieńcy? Czy chodząca legenda zasłużyła na parę drobnych okruszków?

KONIEC

Zadania:

1. Koziółki od lat wymieniają listy ze znaną kozicą. Jak może wyglądać taka korespondencja? Znajdź kartkę i napisz list w imieniu koziółków. Następnie niech mama, tata, siostra lub brat napiszą ci odpowiedź w imieniu kozicy.
2. Koziółki i kozica są na wspólnych wakacjach. Narysuj ich najlepsze wspomnienie. Co nim może być?
3. Widziałeś balet „Jezioro Łabędzie”? Koniecznie zobacz jego fragment i spróbujcie w domu odtworzyć kilka kroków. Poczujecie się jak kochanieńki Gołąb z Ratuszowej Wieży.
4. Uwaga! Robimy konkurs. Zbierz całą rodzinę. Kto najlepiej naśladuje odgłos gołębia? Sprawdźcie.

Z CZYM JEST TEN PIERÓG?
połącz w pary



Chcę do domu!

TO JA

Najpierw powiem wam, jak wyglądam. Mam długie włosy i czeszę je zawsze tak samo – na środku przedziałek i dwa warkocze splecione z tyłu głowy w koszyczek. Tej fryzury zbyt dobrze nie widać, bo zakrywa ją czepek, wiązany pod brodą w dużą, ozdobną kokardę. Koszulę też mam ładną – z bufiastymi rękawami i zwężanymi mankietami zakończonymi falbanką. Na koszulę zakładam sznurowany gorset. Spódnicę noszę rozkloszowaną, do samej ziemi! A na niej fartuszek! Choć może wam się to wydać dziwne, w takim właśnie stroju chodzę do pracy. Ale gdybyście zobaczyli mój odświętny strój, zrozumielibyście, że ten jest i tak bardzo skromny.

Pracuję przy studni i dbam o to, żeby służyła mieszkańcom Poznania – ludziom i zwierzętom, bo zwierzęta to też mieszkańcy miasta. Dźwigam ogromne dzbany z wodą i nieźle sobie radzę, choć to nie jest lekka praca dla dziewczyny. Ale ja jestem twarda!

A, zapomniałam wam powiedzieć, że mam 105 lat. I jestem z brązu. A to ubranie – to strój bamberski.

PAMIĘĆ

Przeżyłam obie wojny światowe – pierwszą i drugą. Ale wszystko zaczęło się od wojny, która wybuchła dużo wcześniej, w 1700 roku, i trwała ponad dwadzieścia lat! Gdy wreszcie się skończyła, okazało się,

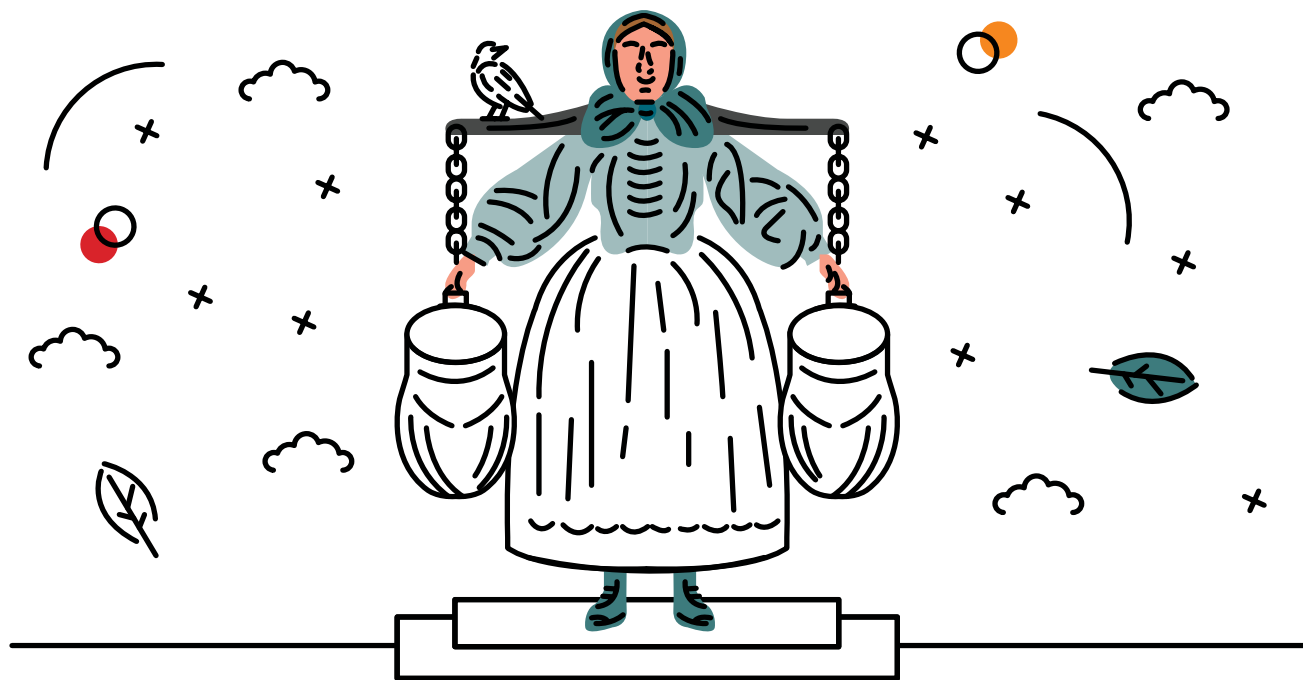
że polskie wsie bardzo opustoszały, bo w czasie wojny zginęło wielu ludzi. Smutno było patrzeć na porzuconą ziemię, której nikt nie uprawia, i władze Poznania wymyśliły, żeby zaprosić do Wielkopolski niemieckich rolników. Warunek był jeden – musieli być wyznania rzymskokatolickiego – bo, gdy ludzie są podobnego wyznania, wtedy mniej się kłócą, a wszyscy mieli już dość wojny...

Niemieccy rolnicy bardzo się ucieszyli (bo w Niemczech był akurat odwrotny problem – nie brakowało ludzi, ale brakowało ziemi). Większość z nich pochodziła z okolic Bambergu, dlatego nazywano ich Bambrami. Z upływem czasu wszystko się pozmieniało, bo kolejne pokolenia Bambrów tak żyły się z Polską, że czuły się Polakami – tu były ich domy, tu rodziły się ich dzieci, tu była ich ojczyzna. Ale Bambrzy pamiętali o swoich korzeniach – i strój, który noszę to właśnie wyraz tej pamięci.

Jestem Bamberką. Jestem Polką o niemieckich korzeniach.

PIERWSZY DOM

Słowa, podobnie jak ludzie, mają swoją historię. Na początku „bambrami” nazywano tylko mieszkańców wsi, którzy mieli pochodzenie niemieckie, potem „bambrem” nazywano każdego, kto mieszkał na wsi. A gdy przyszedłam na świat, w 1915 roku, „bamber” to był po prostu dobry, bogaty gospodarz. Moje pojawienie się w Poznaniu powitano radością. Czułam, że mnie tu lubią. I że jestem u siebie! „Oto prawdziwa Bamberka!” – chwalili mnie przechodnie. I gdy tak mówili, wiedziałam, że mnie podziwiają, bo jestem dobrą gospodynią. Choć w tym czasie trwała I wojna światowa i Polacy walczyli między innymi przeciw Niemcom, to nikt mi nie dokuczał, że moi przodkowie pochodzili



z Niemiec¹. Niemcom, których było wielu w Poznaniu, również nie przeszkadzało, że czuję się Polką. I gdy niemiecki artysta szukał modelki, żeby mnie wyrzeźbić, wybrał nie Niemkę, a Polkę! Nazywała się Jadwiga Jakubczak. Mam właśnie jej rysy.

Na początku mieszkałam na Starym Rynku, w pobliżu domków budniczych. Bardzo lubiłam to miejsce, bo po pierwsze – Stary Rynek to serce Poznania, a po drugie: domki budnicze wyglądają jak z bajki, takie są ładne i kolorowe... Na parterze domków było mnóstwo różnych sklepików i zawsze panował tam duży ruch. Od rana słysząc było nawoływania kupców, rozmowy ludzi, śmiech dzieci, szczekanie psów, rżenie koni...

To był mój pierwszy dom. Bo rzeźby miejskie też potrzebują domów. Domem rzeźby jest nie tylko punkt, w którym została postawiona, ale cała żyjąca dookoła przestrzeń – budynki, place, ulice, drzewa i ludzie.

DRUGI DOM

Minęło czternaście lat. Wojna dawno się skończyła, a Polska była wolnym krajem. Cieszyło mnie, że nareszcie jest dobrze i myślałam, że tak już będzie zawsze. Ale pewnego dnia obudziły mnie dziwne odgłosy i szarpanina. Jacyś złodzieje próbowali wykopać studzienkę! A ja nie mogłam wezwać pomocy, bo rzeźby są nieme! Wkrótce okazało się, że to nie byli złodzieje, tylko pracownicy miasta. Władze Poznania postanowiły przenieść mnie razem ze studzienką pod zachodnią ścianę ratusza. Na początku myślałam, że to jakieś nie-

¹ Wówczas nazywano je Prusami.

porozumienie, ale potem dowiedziałam się, że nie jestem wystarczająco ładna, a do tego zakłócam uliczny ruch. Było mi przykro, bo po pierwsze – zawsze staram się ładnie wyglądać, a po drugie – nigdy nie spowodowałam żadnego wypadku.

Z czasem jednak polubiłam mój nowy dom. Było tu spokojnie i bezpiecznie. No i kręciło się mniej dzieci, z którymi czasem miałam kłopot, bo wrzucały do studzienki różne śmieci – papierki, ogryzki, pestki... Było też mniej gołębi, a one, jak wiadomo, załatwiają swoje potrzeby gdzie popadnie, co bywa kłopotliwe...

Ci, którzy mnie naprawdę potrzebowali, wiedzieli, gdzie mnie znaleźć i nadal korzystali z moich usług. Ci, którzy uważali, że utrudniam ruch i jestem niewystarczająco ładna, mogli być zadowoleni, że stoję teraz na uboczu i nie rzucam się w oczy jak wcześniej.

Ale najważniejsze, że koniec końców ja też byłam zadowolona z tej przeprowadzki!

TRZECI DOM

W 1939 roku wybuchła II wojna światowa. Ta wojna była straszniejsza niż poprzednia. Rozpoczęli ją Niemcy, i to ich winiono za całe zło, które przyniosła. Bambrzy, którzy mieli niemieckie korzenie przestali być lubiani. Pamiętajcie, gdy mówiłam, że słowa też mają swoje historie? Po II wojnie światowej słowa „bam-ber” używano, gdy chciało się kogoś obrazić, więc ja, Bamberka, nie kojarzyłam się już z „zaradną gospodynią”, ale z kimś niedobrym, kto przypomina wojnę. Na kogoś takiego nikt nie chce patrzeć, więc wyładowałam w ciemnym magazynie – i to był teraz mój dom. Miałam żal do Miasta. Od lat służyłam Poznaniowi i nie rozumiałam, dlaczego spada na mnie taka straszna kara. Bo mój nowy dom to tak naprawdę było więzienie....

Tęskniłam za słońcem, rozmowami ludzi, stukotem końskich kopyt... Marzyłam o tym, żeby zobaczyć choć skrawek nieba... Czułam się samotna i niepotrzebna. Bo na co komu studzienka, w której nie ma wody...

Przeleżałam w magazynie wiele lat, aż pewnego ranka...

CZWARTY DOM

... zjawili się jacyś ludzie, którzy postanowili mnie uwolnić! To nie było łatwe, bo jestem ciężka, a jeszcze cięższa jest studzienka. Należało użyć specjalnych narzędzi i zajęło to trochę czasu, ale w końcu się udało!

Niebo! – nareszcie je ujrzałam. Usłyszałam krzyki dzieci, gruchanie gołębi, poczułam jak promienie słońca ślizgają się po mojej twarzy. Byłam szczęśliwa! Niestety trwało to bardzo krótko, bo załadowano mnie do jakiegoś pojazdu, przykryto zakurzoną plandeką, i tak zaczęła się podróż do mojego czwartego domu. Nie trwała długo, ale była bardzo nieprzyjemna. Pojazd szarpał, podskakiwał i co chwilę gwałtownie hamował. Wydawało mi się, że za chwilę rozlecę się w drobny mak. Marzyłam, żebyśmy już byli na miejscu. Kiedy wreszcie dojechalismy, usłyszałam tylko: „Witamy w Muzeum Etnograficznym” i zemdlałam...

Odzyskałam przytomność dopiero w szpitalu. Okazało się, że podróż do muzeum bardzo mi zaszkodziła. Byłam obita, popękana i pokruszona, dlatego moje leczenie trwało aż rok! Całe szczęście opiekowali się mną świetni lekarze. To oni złożyli mnie z powrotem w całość i to dzięki nim całkowicie wyzdrowiałam.

A, zapomniałam wam powiedzieć, że szpitalem rzeźb jest pracownia konserwatorska, a lekarzami

– konserwatorzy.

PIĄTY DOM

W 1964 roku stanęłam na nogi. Konserwatorzy uznali, że można mnie już pokazać światu. Cieszyłam się, że wrócę na Stary Rynek. Ale nic z tego... Postawiono mnie w muzealnym ogrodzie! Na początku myślałam, że to potrwa tylko chwilę, i że ten ogród to coś w rodzaju sanatorium, w którym mam wypocząć i nabrać sił. Ale mijały dni, miesiące i lata, i nic się nie zmieniało... Zrozumiałam, że to mój piąty dom.

Bardzo tęskniłam za Starym Rynkiem, bo tam przeżyłam najszcześniejsze chwile mojego życia. Może dlatego, że to było miejsce, w którym czułam się pożyteczna. Teraz byłam zwykłą rzeźbą ogrodową i nie miałam nic do roboty – ozdabiałam ogród i tyle. A ja lubiłam pracować, lubiłam czuć się potrzebną... Postanowiłam jednak nie narzekać. Ogród w porównaniu z magazynem to i tak był raj! Wyobrażałam sobie, że jestem na wakacjach, obserwowałam ptaki, których tutaj było bardzo dużo, przyglądałam się drzewom, które o każdej porze roku wyglądały inaczej, przysłuchiwałam się spacerującym parom, które powierzały sobie różne tajemnice, i w końcu tak zżyłam się z tym miejscem, że trudno było mi je opuszczać... Bo je również musiałam pożegnać...

Czekała mnie kolejna przeprowadzka...

SZÓSTY DOM

Gdzie mnie teraz wiozą? – myślałam zaniepokojona. – Byle nie do magazynu... A może znów

wybuchła jakaś wojna? – martwiłam się. Prawdę mówiąc, byłam już tym wszystkim bardzo zmęczona, bo ile można się przeprowadzać? I jeszcze żeby ktoś zapytał mnie o zdanie! Ale nikt się z nim nie liczył. A ono było takie: chcę wrócić na Stary Rynek, chcę do domu! Tego prawdziwego!

Kiedy dotarliśmy na miejsce, miałam ochotę zamknąć oczy, tak się bałam. Ale rzeźby nie ruszają oczami. W każdym razie nie takie, jak ja. Tyle już przeszłam, że spodziewałam się najgorszego.

Skoro usunęli mnie z ogrodu – myślałam – to pewnie dlatego, że teraz muszą mnie gdzieś schować.

Niepotrzebnie się bałam... Tym razem, władze Poznania przygotowały mi niespodziankę i przeniosły z powrotem na Stary Rynek!

Teraz stoję w miejscu, w którym stałam przed wybuchem II wojny światowej. Od czterdziestu trzech lat nigdzie się nie przeprowadzałam. Ale czy tak już będzie zawsze, tego nie wiem...

W każdym razie – jestem szczęśliwa!

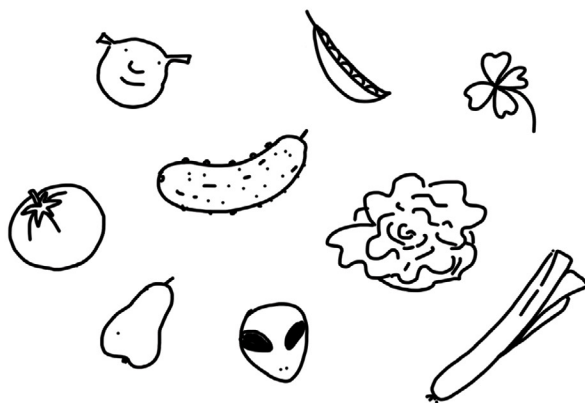
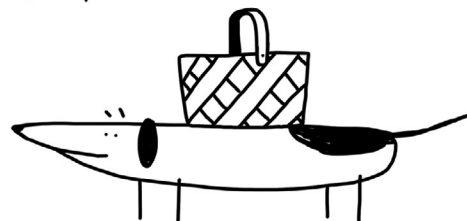
KONIEC

Zadania:

1. Spróbuj wyobrazić sobie jak wyglądało gospodarstwo Bambrów. Narysuj je, a następnie porównaj z obrazkami w Internecie.
2. Spróbuj wygooglować rodowity strój bamberski. Policz z ilu składa się kolorów.
3. Narysuj Bamberkę w jej piątym domu.
4. Zapytaj rodziców na czym polega zawód konserwatora zabytków.

CO NIE PASUJE PARÓWCE
DO KOSZYCZKA?

Janusz zrobił ekologiczne zakupy
na Placu Wielkopolskim,
ale coś mu się nie zgadza.
Znajdź niepasujący element.



Zaczarowane Koziółki

Rogiem mogą dotknąć nieba,
nie ma takich drugich w świecie,
Ejber i Gzub są odważni,
ale to już pewnie wiecie.

Dwa koziółki w jednej wieży,
dzień w dzień rogi pokazują,
co południe rządzą czasem
i do walki się szykują.

Trębacz w wieży gra muzykę,
dźwięki płyną nad domami,
zegar kryje tajemnicę,
tak to bywa z legendami.

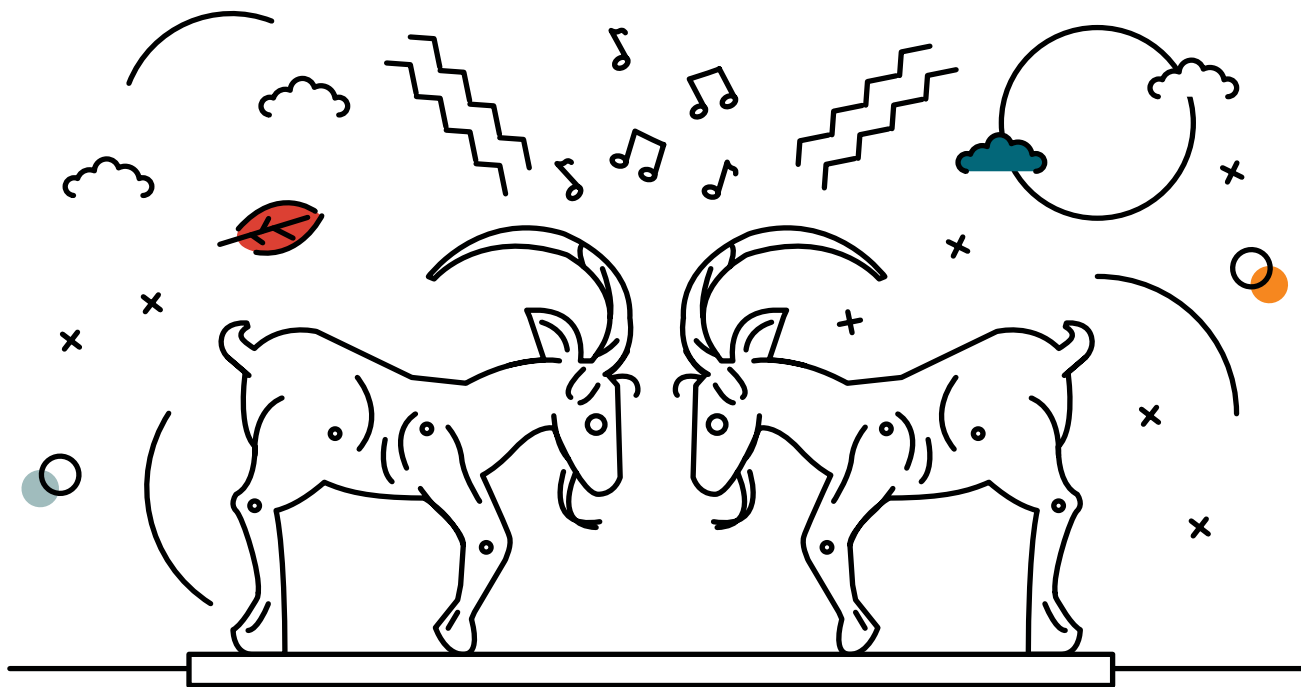
Dawno, dawno, wieki temu,

pod Poznaniem, gdzieś na łąkach,
figlowały dwa koziółki,
ich duch dotąd tam się błąka.

Co się stało z koziółkami?
Czas jak rzeka szybko płynie...
Dom znalazły w sercu rynku,
tam ich sława nie przeminie.

W mieście hucznie ucztowano,
nowy zegar powstał w wieży,
na przyjęciu miejskiej rady
brakowało już talerzy.

Główne danie, pieczeń z sarny,
miało wjechać na półmisku,



kuchcik w kącie słodko przysnął,
więc spłonęło w palenisku.

Wystraszony niczym zając,
pognał chłopiec porwać kozły
i udawać, że to sarna,
lecz koziołki to nie osły.

Uciekały, gdzie pieprz rośnie,
kopytkami przebierały,
wspięły się na samą wieżę,
dobry widok stamtąd miały.

Śmiechu było co niemiara,
ocalały dwa koziołki,
poganiały się po murach
i wróciły znów na łąki.

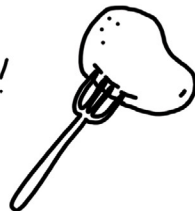
Na pamiątkę tej przygody
mistrz zegarmistrz dzieło stworzył,
do zegara na ratuszu
dwa koziołki zgrabnie włożył.

Tłumy gapiów od lat wielu
pod zegarem się zbierają,
wypatrują, jak pod niebem
dwa koziołki się trykają.

Poznań słynie w całym świecie,
zwą go miastem z koziołkami,
tak jak one umie walczyć
i przyjaźni się z duchami.

WYKREŚLANKA ZIEMIACZANA

Pies parówka ma 5 kg
ziemniaków i szuka pomysłu
na obiad. Znajdź jak najwięcej
wyrazów związanych
z ziemniaczkami
i podrzuć mu menu!



Ł U K R O K I E T
Ó B E Ń F A R S Z
D A F P R K U K O
E B I U Y A G N P
C K A R T O F E L
Z A N E K Z U D A
K R T E I W I E C
I P Y R A K N L K
R O K L U S K A I

Szklaneczka

Joanka zaczęła zamieniać się w szkło dzień po swoich siódmych urodzinach.

Rodzice natychmiast zabrali ją do lekarza. Doktor obejrzał Joankę z zainteresowaniem, kilka razy postukał stetoskopem w palce dziewczynki, pokiwał głową, a potem bez słowa zaczął wypisywać plik recept. - Ręka sprawna, tylko trzeba na nią uważać – wyjaśnił w końcu, wciskając recepty oniemiałemu tacie Joanki.

Od tej pory Joanka miała wrażenie, że wraz z ręką, zmieniło się jej imię: rodzice nie nazywali jej już inaczej, niż „Joanka Niewolno”.

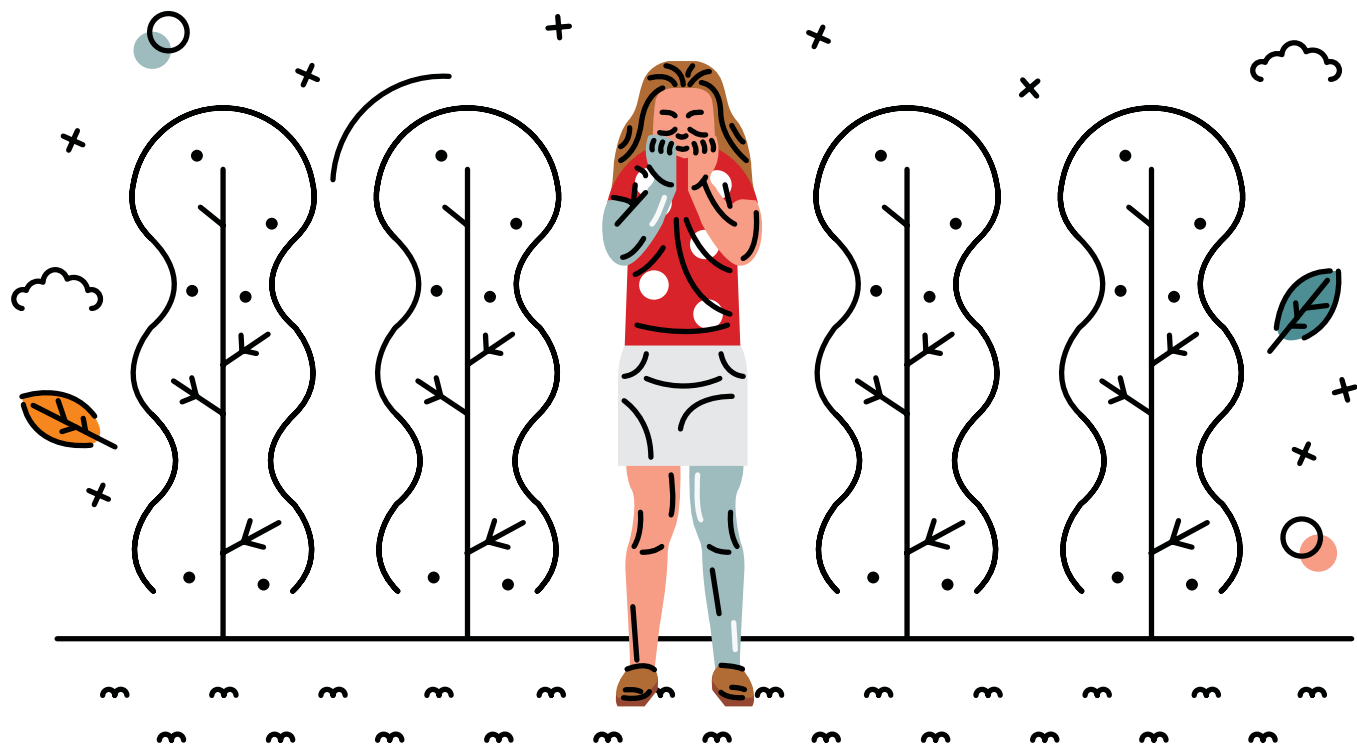
Joanka, nie wolno klaskać!

Joanka, nie wolno grać w piłkę!

Nie wolno pukać do drzwi („zawsze używaj dzwonka, córeczko”).

Nie wolno przybijać piątek!

Nie wolno pstrykać palcami (choć Joanka nie zdążyła się jeszcze nauczyć – próbowała co prawda ukradkiem pstrykać lewą ręką, bo tylko prawa była szklana, ale przyłapała ją na tym mama i „na wszelki



wypadek” też zabroniła).

Nie wolno dłubać w nosie – a co jak ci się palec złamie i zostanie w środku?!

Joanka NIEWOLNO!

W szkole Joanka też musiała uważać. O bieganiu oczywiście nie było mowy, więc na przerwach dziewczynka stała przyklejona do ściany, z ręką ukrytą za plecami, dopóki na długiej, obiadowej nie wpadł w nią z impetem Kamil. Joanka rymnęła jak długa, odruchowo podpierając się na szklanej dłoni, aż na całym korytarzu zabrzączało.

Po tym wydarzeniu, niektórzy zaczęli wołać na nią „Szlanka”. „Szklaneczka”. Joanka-Szlanka. Nie lubiła tego, ale wkrótce nikt już nie zwracał się do niej jej prawdziwym imieniem. Pomiędzy lekcjami, w tłumie, zaczęła unosić rękę nad głowę tak, żeby ktoś przez przypadek jej nie uderzył albo nie potrącił. Potem zaczęła to robić także w szatni i wreszcie: w klasie. Niestety, nauczyciele zupełnie nie rozumieli o co jej chodzi. Myśleli, że się zgłasza, a gdy pytali ją dlaczego, zawstydzona Joanka uparcie milczała, wciąż trzymając jednak swoją prawą dłoń wysoko, bezpieczną poza zasięgiem innych dzieci. Nic dziwnego, że wkrótce rodzice musieli zabrać ją ze szkoły.

Od tej pory miała uczyć się w domu.

Joance właściwie nie było wcale przykro. Ręka strasznie już ją bolała od tego wyciągania do góry i chociaż nie powiedziała tego rodzicom, czasem w nocy ze snu wyrывał ją rwący skurcz – budziła się wtedy,

a jej zdrętwiałe ramię ze szklaną dłonią sterczało wycelowane w stronę sufitu.

W domu Joanka rzeczywiście trochę się uspokoiła. Zmartwieni rodzice woleli, żeby „lepiej na razie nigdzie nie wychodziła” i przyjęła to z ulgą. Kiedy musiała jechać na kontrolę do lekarza albo na przegląd do dentysty, rodzice zawijali ją w grubą kołdrę jakby Joanka była nadzieniem wielkiego naleśnika, a całość obwiązywali dla pewności sznurkiem. Joance było gorąco, ale nie protestowała, to i tak wydawało się lepsze niż trzymanie ręki nad głową. Gdy mama i tata odwijali ją z kołdry, dziewczynka była czerwona i rozczochrana i kręciło jej się przed oczami.

Tak mijały tygodnie i miesiące. Nadeszła wiosna, potem lato i zakończenie roku szkolnego. Joanka zdała do następnej klasy. Dostała zaproszenie na uroczystą akademię, ale nigdzie nie poszła. Mama i tata martwili się teraz nawet kiedy Joanka zostawała sama w pokoju – że potknie się i rozbije na szklane kawałki. Raz, kiedy poślizgnęła się w wannie, mama tak się przestraszyła, że Joanka widziała jak z trudem powstrzymuje łzy, a tata pocałował potem Joankę w czoło na dobranoc, powiedział poważnym tonem: „musisz NA-PRAWDĘ na siebie uważać, dziecko”.

Joanka niemal nigdy nie zostawała sama. Jej rodzice pracowali na zmianę z domu, a na dodatek biuro taty znajdowało się na Jeżycach, niedaleko ich własnego mieszkania. Wiedziała, że oboje bardzo się o nią martwią. Czasem, kiedy wchodziła do pokoju, przyłapywała rodziców jak szepczą z pochylonymi ku sobie głowami. Natychmiast milkli, kiedy tylko orientowali się, że córka na nich patrzy. A Joanka coraz bardziej się nudziła.

Odkąd przez przypadek podpałiła firankę, nie wolno jej było nawet wyglądać przez okno. Przecież tylko zapatrzyła się na psa sąsiadów... Nie zauważyła, że promień słoneczny, wiązka światła przechodzi przez jej dłoń i skupia się na koronce, która po chwili zaczęła dymić.

Dlaczego więc dzisiaj, mimo zakazów, dziewczynka od rana sterczała w oknie?
Na co czekała?

Kobieta pojawiła się na ich ulicy krótko po dwunastej. Joanka natychmiast uznała, że to musiała być ONA. Przyjechała na wielkim, dziwnym rowerze. Niemal na nim leżała, a nogi miała wyciągnięte wysoko nad głowę. Z pedałów sterczały dwie potworne wyszczerzone gęby. Czy to smoki?
Kiedy Joanka usłyszała dzwonek domofonu, natychmiast przypadła z powrotem do biurka, udając, że jest pochłonięta rysowaniem.

– No siemaneczko, kochani moi, dzień dobrek! – W progu pojawiła się smocza gęba. Zaraz za nią wychynęła druga. – Gdzie jest ta moja podopieczna?

Dopiero kiedy smocza gęba natarła na ojca, oszołomiona Joanka podniosła wzrok. Kobieta z roweru rzuciła się tacie na szyję, a teraz całowała soczyście w policzki wyraźnie zestresowaną mamę.

– Gotowi do podróży?

Rodzice spojrzeli na przygotowane walizki. Miny mieli niepewne. Ale wyjazdu służbowego nie dało się już

odwołać.

– A ty pewnie jesteś Joanna?

Joanka z rozdziawionymi ustami skinęła głową.

– Nazywam się Brunhilda, ciotka Brunhilda, ale wystarczy jeśli będziesz mi mówić ciociu. A to Kwak i Krak – podniosła najpierw wysoko jedną, potem drugą nogę, podsuwając bambosz Joance pod oczy, bo na stopach miała wielkie bambosze w kształcie pluszowych smoków, które łypały na dziewczynkę, szczerząc pluszowe zęby.

Teraz, godzinę później, Joanka z przerażeniem patrzyła na przesuwające się obok niej samochody. Jechały na rowerze ciotki Brunhildy i Joanka nie miała przy sobie nawet poduszki (nie mówiąc o kołdrze), ciotka pozwoliła jej ubrać tylko cienką zimową rękawiczkę na prawą dłoń, a gdy Joanka, usadowiona w koszyku na kierownicy, uniosła w górę rękę, ciocia natychmiast ją ofuknęła, że jej zasłania drogę i ma się nie wygłupiać.

Rodzice dostaliby zawału, gdyby dowiedzieli się, co Joanka właśnie robi. Na dodatek ciotka w ogóle nie uważała!

Co chwilę wjeżdżała w dziury, aż Joanka podskakiwała, a ręka uderzała o metalowy koszyk. Ciotka zaśmiewała się przy tym tak głośno, że Joanka była pewna, że ta robi to specjalnie – żeby Joance dokuczyć. Chociaż z drugiej strony dziewczynka musiała przyznać, że jazda była całkiem przyjemna. Wiatr miło ją chłodził, samochody trąbiły kiedy ciotka wpadała na skrzyżowania, a smoki szczerzyły się do Joanki.

– Zsiadaj, jesteśmy! – wysapała nagle ciotka.

Dziewczynka rozejrzała się, czując lekkie ukłucie rozczarowania. Nawet nie zauważyła, kiedy dojechały na miejsce. Były na Starym Rynku. Pewnie znowu będzie musiała oglądać te nudne koziołki...

Brunhilda ruszyła, nie oglądając się za siebie. Joanka dopiero teraz zauważyła, że ciotka ma na plecach wielką patelnię przerzuconą jak kołczan. Nie, nie patelnię – futerał na patelnię. Chyba.

– Co się tak wleciesz? – Ciotka odwróciła się niecierpliwie i dwa pluszowe smoki zaszurały z dezaprobatą o kamienny bruk.

Joanka z przerażeniem zorientowała się, że ciotka ciągnie ją w tłum. Na Rynku był chyba jakiś targ czy festyn i wszędzie wokół kotłowali się ludzie. Na Joankę co chwilę ktoś wpadał, potrącał ją, a ręka, nawet skryta w rękawiczce, głośno brzęczała. Ciotka szła coraz szybciej, sadziła ogromne kroki. Dziewczynka miała wrażenie, że ciotka zatrzymuje się w powietrzu odrobinę za długo, a skrzydełka pluszowych smoków poruszają się wtedy lekko, jakby łopotały na wietrze... Ale zanim Joanka zdołała się lepiej przyjrzeć, ciotka wepchnęła ją na jakąś karuzelę, a potem sama władowała się obok. Joance kręciło się jeszcze w głowie, kiedy ciotka pociągnęła ją dalej, w stronę jaskrawej konstrukcji górującej ponad tłumem.

Dmuchany zamek. O, Joanka uwielbiała kiedyś takie dmuchane zamki!

– Dobra, wskakuj!

– Co? Nie wolno mi! – Przerażona, przycisnęła do siebie rękę.

Ciotka spojrzała na nią kpiąco.

– „Nie wolno mi”, „nie wolno mi”... – zapiszczała.

Czy ciotka ją przedrzeźniała?! Smoki szczyrzyły się złośliwie.

– Rób co chcesz, ja idę – mruknęła Brunhilda, a potem podwinęła nogawki spodni i włądowała się w bamboszach na zamek, podskakując śmiesznie. Joanka gapiała się na nią z rozdziawionymi ustami. Przebierała nogami, zastanawiając się nad czymś głęboko. Zdjęła rękawiczkę. Spojrzała na rękę. Pod słońce wyglądała jakby była zrobiona z lodu. Nie widziała na niej żadnych rys. Postukała w nią ostrożnie drugą dłoń. Twarda.

A potem nie wytrzymała i skoczyła za ciotką.

Później zjeżdżały jeszcze na wielkiej zjeżdżalni, puszczały bańki, śmiały się, zjadły lody, które pociekły Joance na bluzkę, a ciotka po piątej przejażdżce karuzelą zwymiotowała do kosza na śmieci. Wreszcie, zmęczone, usiadły pod budką z fast foodem i zamówiły hamburgery.

– Siemaneczko, dla mnie tylko z warzywkami, kochany – rzuciła ciotka Brunhilda do sprzedawcy.

Joanka była głodna jak wilk. Nie, jak smok! Jak smoczyca!!!

Cała prawa dłoń ubabrała jej się w hamburgerowym sosie, ale zupełnie nie zwróciła na to uwagi. Myślała o czymś, co mignęło jej, kiedy ciotka skakała na dmuchanym zamku. Czy to możliwe? Mogło jej się tylko wydawać, ale...

– Ciociu?

– Yhm... – wymamrotała ciotka z pełnymi ustami.

Joanka zebrała się na odwagę.

– To ty też masz tę... no... – aż zająknęła się z nerwów - ...SZKLANĄ NOGĘ?!

Ciotka spojrzała na nią spod przymrużonych powiek. A potem podwinęła wysoko nogawkę i popukała się z impetem w kolano.

– Nie szklaną, tylko duraleksową!

Joanka spoglądała na nią oniemiała.

– A co, ty myślałaś, że taka opalona jestem? – roześmiała się Brunhilda.

– A... a dlaczego nosisz ze sobą patelnię?

– Patełnię?

Dziewczynka wskazała na czarny futerał i nagle ciotka uderzyła się dłonią w czoło.

– Jak mogłam o tym zapomnieć! Znasz jakieś piosenki?

– No... jakieś znam.

– Dobra, to siadaj tutaj, wystaw mojego bambosza... – Zsunęła z lewej stopy Kwaka.

Joance zdawało się, że Krak spoglądał tęsknie za swoim oddalającym się towarzyszem.

– Do tego będziemy zbierać pieniądze.

– Pieniądze?

– Za granie. Od ludzi.

– Ale po co?

– A jak za te hamburgery zapłacimy?! Ostatnią dyszkę wydałam na karuzelę.

I nie czekając na odpowiedź Joanki, rozsiadła się i zaczęła występ. Okazało się, że w futerale trzymała banjo!

Joanka pamiętała tę śmieszłą gitarę z podręcznika do muzyki. Brunhilda śpiewała całkiem nieźle, szybko

przystaneło obok nich kilka osób. Ktoś zaczął klaskać w dłonie. Ciotka kiwnęła głową na Joankę, że też ma niby klaskać. Joanka spojrzała na nią oburzona. Klaskać? Ona?! Przecież potłukłaby się na kawałki!

Nagle muzyka umilkła. Brunhilda z zadowoleniem wybierała z bambosza monety.

– Graj przez chwilę za mnie. – Wcisnęła Joance do rąk gitarę.

– Co ja mam z tym zrobić?! – Dziewczynka spoglądała zdeorientowana na ściskany w dłoniach instrument.

Ale ciotka już jej nie słyszała. Wokół zgromadził się spory tłumek, który z rozbawieniem patrzył na występ ciotki. Niektórzy kręcili ich komórkami.

Joanka przełknęła ślinę. Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Krak wciąż leżał u jej stóp. Dziewczynce wydało się, że spogląda na nią porozumiewawczo.

Joanka pogłaskała palcami struny. Dawniej uczył ją grać tata, ale teraz dotykanie gitary miała surowo zabronione. Nie wolno. Przeciągnęła prawą dłońią po strunach, bardzo delikatnie.

Zaskoczona prawie upuściła instrument na ziemię.

Dźwięk, który wyszedł spod jej dłoni był niepodobny do niczego, co słyszała wcześniej. Szklane palce szarpiące struny... Jeśli miałyby go do czegoś porównać, to do ptaków, które budziły ją w zeszłym roku wcześniej rano w wakacje, kiedy Joanka mogła jeszcze jeździć na wieś bez obaw, że się rozbije.

Wokół zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się teraz w Joankę. Dziewczynka, ośmielona, jeszcze kilka razy przeciągnęła palcami po strunach, a potem zamknęła oczy i zaśpiewała jedyną piosenkę, którą pamiętała.

Gdy skończyła, przez chwilę jeszcze stała z zaciśniętymi powiekami. Słyszała tylko własny przyspieszony oddech. Później rozległy się brawa. Otworzyła oczy. Ciotka stała tuż obok. Uśmiechnęła się szeroko. Joanka mogła przysiąc, że Kwak mrugnął do niej okiem.

Od nowego roku dziewczynka wróciła do szkoły. Nikt nie pamiętał już o Joance Niewolno. Teraz wszyscy nazywali ją po prostu Joanną, czasem – „Szklaneczką”.

I Joanna była z tego całkiem zadowolona.

KONIEC

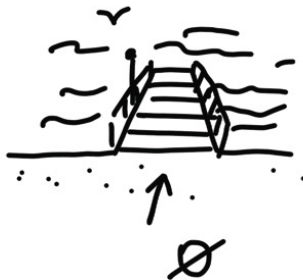
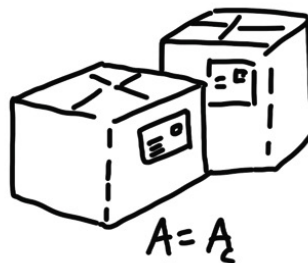
Zadania:

1. Czas na koncert. Z pomocą dorosłego nalej różne ilości wody do kilku szklanek. Zamocz palec w wodzie. Teraz pokręć nim po brzegu szklanki. Każda szklanka będzie wydawała inny dźwięk. Ciekawe komu uda się uzyskać najlepszy?
2. Narysuj bambosze cioteczki Brunhildy.
3. Poproś dorosłego, by podarował ci nieużywaną szklankę lub kubek. Oklej ją z zewnątrz cienką warstwą plasteliny. Masz już tło. Teraz udekoruj swoją szklaneczkę tak, jak chcesz.
4. Joanka miała wiele zakazów. Spróbujmy odwrócić sytuację. Zrób listę rzeczy, które wolno Tobie robić. Zaznacz kolorem te, które sprawiają ci najwięcej frajdy!

Zrobiło się ciepło, więc Janusz
ruszył grillować nad Wartę.
Policz, ile wziął paróweczek.



REBUS Z NIESPODZIANKĄ



O dukacie, obłokach i wielkich trzech smokach

Tomek idzie z psem na smyczy.

Mija wąły go leśniczy.

Nagle patrzy,

Nie do wiary!

Złoty dukat.

– Będą czary!

Tomasz jedno ma życzenie.

Patrzy w niebo,

Tupta w ziemię.

Rynek cienie zasłaniają.

Ryki przestrzeń wypełniają.

– Patrzcie wszyscy!

Tam! W obłoki!

– Czy to?

– Czy to?

– Czy to?

...Smoki?!!

Kamieniczki demolują.

Ryczą. Syczą.

Ogniem plują!

Ludzie w szoku.

Biegną, przyspieszają kroku.

Tylko Tomek w miejscu stoi.

Chłopak wcale się nie boi.

Fafik - pies już widział wiele,
Choćby w zeszłą Ci niedzielę.
Piesek dostał swoje miecze,
Bawili się w średniowiecze.

Dla Fafika więc te smoki,
Są powszednie niczym sroki.
Nowy hydrant byłby niusem.
Podbiegłby do niego susem.
Ale Smoki! – Phi! Kolego!
Dla Fafika – Nic nowego!

Reszta ludzi się nie nudzi!
Biegną! Krzyczą!
Mdleją! Kwiczą!
Stary Rynek i trzy smoki.
Niecodzienne to widoki.

Nagle stwory przycupnęły.

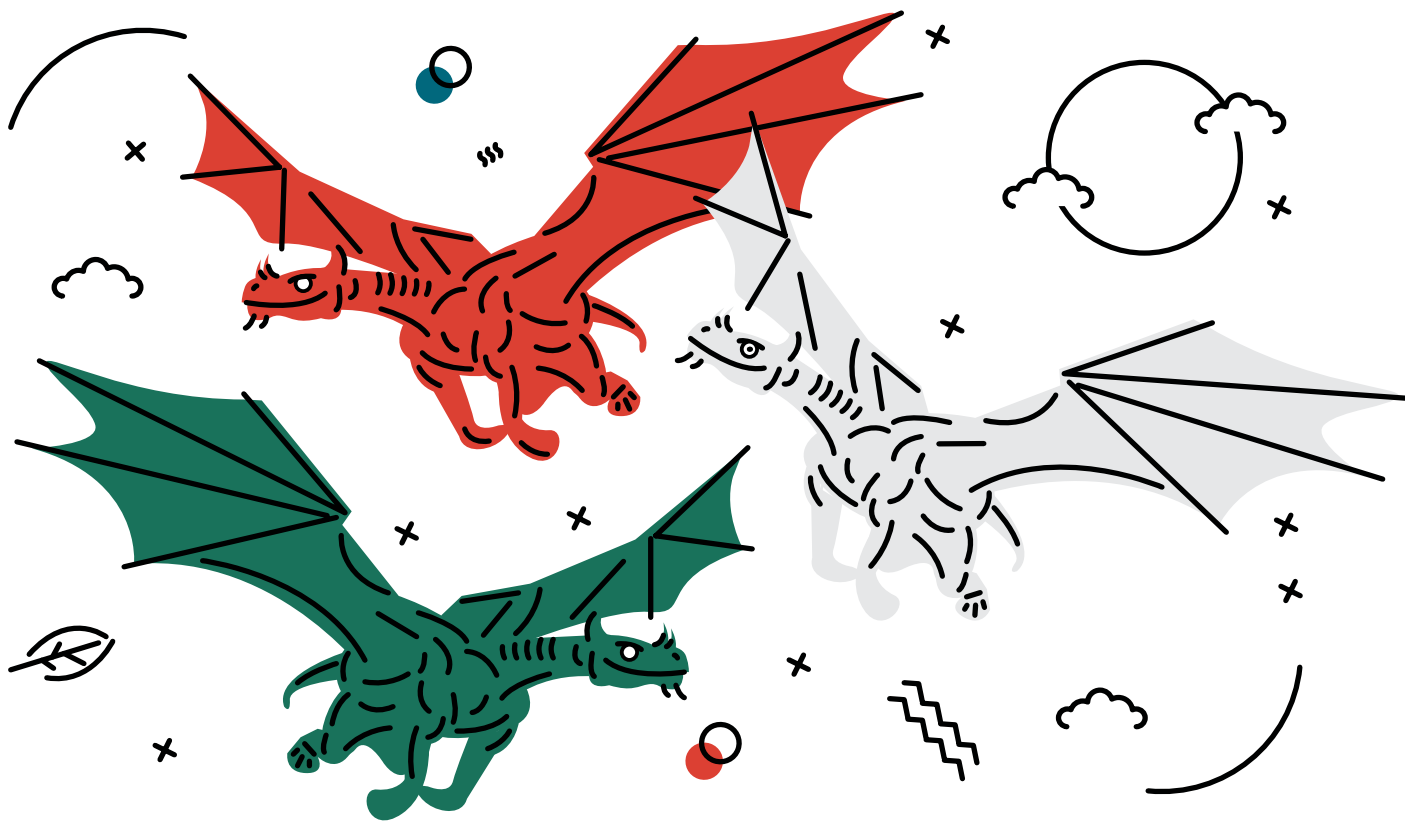
Wielki oddech szybko wzięły.

Patrzą teraz na chłopaka.
Nie ucieka?!
A to draka!

Lecz ktoś biegnie w jego stronę.
Dwie osoby z telefonem.
To rodzice są Tomasza.
Mama Masza,
Tata Sasza.

Sasza dzwoni do strażaków.
Masza krzyczy:
– To nie Kraków!
Co tu robią aż trzy smoki?!
Tomasz, Fafik! Hen w podskoki!

Ależ mamó! – krzyczy Tomek!



Trzeba im zbudować domek!
Ja je tutaj przywołałem.
Życzenie wypowiedziałem.

– Słyszysz, Sasza? – mówi Masza.
Toż to sprawka jest Tomasza.
Zabierz syna, bierz Fafika.
Proszę mi stąd szybko zniknąć!

Sasza wzrusza ramionami.
Smoki machają skrzydłami.
Znów podnoszą się do lotu.
Z czoła leci strużka potu.

Przy fontannach już lądują.
Ludzie z okien obserwują.

Wyszedł pomysł od Tomasza.
Słucha Masza, jak i Sasza.

– Trzeba wskoczyć na te smoki,
I poderwać się w obłoki.
Trzeba Rynek uratować.
Zaraz mogą go zrujnować!
A on przecież tak uroczy.
Patrzy smokom Tomasz w oczy.

Wtem smok węża Tomka z bliska.
Pokazuje swe zębiska.
Tomasz ręką go dotyka.
Bardzo dziwna to taktyka.

Masza mdleje.
Co się dzieje?

Drugi smok podnosi brodę.
Szybko w paszczę bierze wodę.
Polewa nią szybko Maszę.
Mocząc przy tym również Saszę.

Matka wstaje, patrzy w boki.
Widzi trzy ogromne smoki.
Co się dzieje?
Znowu mdleje.

Trzeci smok sam parska śmiechem.
Wielkim, smoczym swym oddechem.
Ryczy głośno pyskiem białym,
Aż się trzęsie pręgierz cały.

Sasza patrzy i nie wierzy.
Masza znów na ziemi leży.
Smok zielony sam ją cuci.
Tomasz wcale się nie smuci.

Wielkie smoki pomagają?
Maszę budzą.
Wody dają.

– Miałem rację!
Dobre smoki!
Znów na Rynku słyszać kroki.

Straż pożarna z wielkim wężem,
Przyszła z całym swym orężem.
Trzęsą wszyscy się strażacy,
Widzą smoki jak na tacy.

– Najprawdziwsze są to smoki!
Robią coraz mniejsze kroki.

Smok obraca się w ich stronę,
Stawia skrzydła swe czerwone.
Strażacy wracają z krzykiem.
Tomek cieszy się z Fafikiem.

– Grzeczne smoki – mówi Tomek.

Zaraz Wam znajdziemy domek.
Masza wstaje i nie wierzy.
Obok Tomka smok już leży.

Tomasz wspina się po skrzydle
Jest na plecach, jest na grzbiecie.
– Co ty robisz! Spadniesz, dziecię!

- Mamo! Wskakuj na białego!
Wspinaj się po brzuchu jego.

A zielony ciągle prycha,
Fontanna to jego micha.
Widzi Tomka, widzi Maszę,
Obserwuje bacznie Saszę.

Tata wtem przełyka ślinę,
Robi bardzo tęgą minę.
Zbliża się do zielonego.

A ten beka!
Sasza czeka.

– Nie wiedziałam, że smok beka?
Może trzeba dać mu mleka?
Masza śmieje się w obłoki.
Ludzie! Bekające smoki!

Nagle z okien w całym Rynku,
Śmiech się niesie.
– Popatrz synku!
Już nie straszne są te smoki.
Bekają jak zwykłe foki.

Salwy śmiechu z każdej strony
Teraz beka smok czerwony.
Biały również sobie beka.
Tylko Sasza wiernie czeka.

Zielony nastawia łba.
Sasza się na szyję pcha.

Każdy jest na smoka grzbiecie.
– Jak tym latać? Czy wy wiecie?
– Tylko mocno się trzymajcie
I ze smoka nie spadajcie!

Pierwszy Tomek. Leci cudnie.
Ratusz szybko w oczach chudnie.
Teraz biały i zielony.
Już są w górze, jak czerwony.

Chociaż troszkę opalony,
Stary Rynek ocalony!
Ludzie wszędzie wiwatują.
Machają i salutują.

A rodzina ze smokami,

Lata sobie nad chmurami.

– Do Krakowa! – krzyczy Masza.
– Żono droga! – mówi Sasza. –
Tam chcesz smoki im zostawić?
Tak znienacka się pojawić?

– Oni smoki dobrze znają.
Bazyliuszka przecież mają.
Tam jaskinie, góry, dołki.
U nas tylko są koziołki.

Nie minęła nawet chwilka,
Patrzą – w dole jest Emilka.
Smoki w dół szybciutko prują,
I w Luboniu ci lądują.
Tomasz, Masza, Fafik, Sasza,
Zeszli z grzbietów.
– Dobra nasza!

Emilka przytula smoki.
Pokazuje im obłoki.
Szepcze każdemu do ucha.
Jeden, drugi, trzeci słucha.

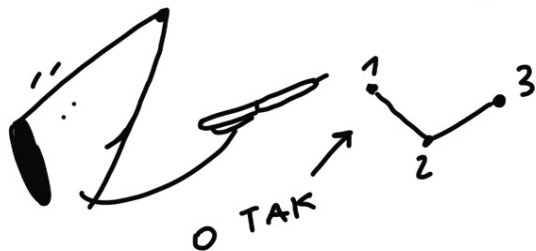
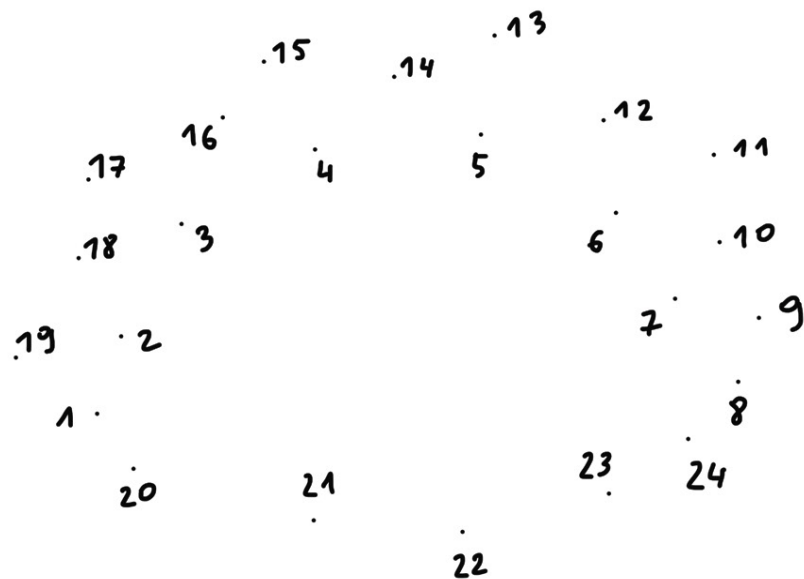
Po minucie odfruwają.
Gdzieś tam w niebie się chowają.
Zerknij czasem na obłoki,
Bekające są tam smoki!

KONIEC

Zadania:

1. Znając kolory wszystkich smoków, spróbuj zlepić lub zbudować całą trójkę. Wykorzystaj dowolne materiały.
2. Jak myślisz, jak wygląda Fafik? Spróbuj go narysować.
3. Wszystkie trzy smoki muszą otrzymać dowody osobiste. Trzeba wymyślić im imiona, nazwiska i znaki szczególne. Do dzieła!
4. Tomasz jest odważnym chłopcem. Nie bał się smoków. Czego Ty się nie boisz? Zrób listę i powieś w pokoju. To będzie twoja tablica odwagi!

POŁĄCZ KROPKI



Znajdź różnice



ZNAJDŹ RÓŻNICE



O autorach:

Justyna Drzewicka

jest autorką dwóch trylogii z gatunku fantastyki młodzieżowej: „Niepowszedni” i „Ratownicy czasu”, wielokrotnie wyróżnionych w literackich konkursach. Z wykształcenia polonistka, ukończyła dodatkowe studia poświęcone literaturze dla dzieci i młodzieży. Ma dwa bardzo niesforne koty i jednego poczciwego psa. Cała trójka hasa na kartach jej książek.

Grzegorz Gajek

urodzony został pod księżycem dobrej pani Mokoszy. Choć sam mikrej postury, jego zwierzę rodowe to uparty żubr. Z wykształcenia kulturoznawca, z zawodu tłumacz, z zamiłowania włóczęga. Autor powieści, opowiadań i słuchowisk, w tym młodzieżowego cyklu „Strażnicy Starego Lasu”, którego I tom „Biała wieża” w 2019 r. zyskał tytuł najlepszej książki na jesień wg portalu Granice.pl.

Ewa Karwan Jastrzębska

ma w swoim dorobku kilkadziesiąt powieści dla dzieci i młodzieży. Są to między innymi: znany na całym

świecie Miś Fantazy, Duchy w teatrze, Hermes 9:10, cykl Banda Michałka, seria powieści sensacyjno-przygodowych - Misja Feniks i Misja Xibalba, czy magiczny cykl: Agata z placu Słonecznego. Dzieciństwo spędziła w Afryce.

Tomasz Pieńczak

to ilustrator z zacięciem projektowym & art director, podróżnik. Zestawia ze sobą ilustrowane formy, które tworzą tętniące kolorem i życiem sceny. Ilustracje występują w projektach brandingowych, książkach, magazynach, przestrzeni miejskiej, czy na plakatach. Korzysta z nowoczesnych mediów i technik, przy czym chętnie podpira się tradycyjnymi metodami plastycznymi.

Eliza Piotrowska

to polska autorka i ilustratorka ponad stu książek dla dzieci, poetka, tłumaczka języka włoskiego i krytyczka sztuki. Aktywnie współpracuje z wieloma czasopismami dla dzieci i pismami poświęconymi literaturze dla najmłodszych („Świerszczyk”, „Mały Przewodnik Katolicki”, „Ryms”, „Guliwer”). Laureatka ogólnopolskich konkursów literackich, plastycznych oraz inicjatyw edukacyjnych. Mieszka w Brazylii.

Malina Prześluga

jest autorką kilkunastu książek oraz tekstów dramatycznych dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Jej „Ziuzia” otrzymała tytuł Książki Roku Polskiej Sekcji IBBY w 2013 roku. Autorkę za dokonania w dziedzinie literatury i dramaturgii dla dzieci nagroził Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Otrzymała również Medal Młodej Sztuki. Obecnie jako Kierownik literacka i dramaturg pracuje w Teatrze Animacji w Poznaniu.

Dominika Słowik

jest pisarką, laureatką Paszportu „Polityki” za powieść „Zimowla”. Jej debiut „Atlas: Doppelganger” (2015) nominowany był do Nagrody Literackiej Gdynia. Druga powieść, „Zimowla” (2019), poza Paszportem „Polityki” zdobyła tytuł „Odkrycia Empiku”. Autorka mieszka i tworzy w Krakowie.

Kasia Smoczyńska

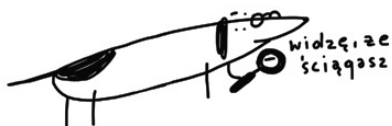
jest absolwentką Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu, ilustratorką mody i graficzką. Po godzinach wymyśla przygody Psa Parówki — jej rysunkowego alter ego (choć ostatni bliski kontakt z parówkami miała w 2001 roku). Przygody Janusza Psa Parówki możecie śledzić na Instagramie @piesparowka

Patrycjusz Tomaszewski

przełożył na język polski m.in. książkowe przygody Minionków, czy „Supergirl w Super Hero High”. Jest autorem, wydanej przez Estradę Poznańską książeczki dla dzieci „Zwierzyniec”. Na zlecenie festiwalu Ale Kino opracował familijną grę planszową „Ale Gra”. Produkował, wydawał i prowadził audycje kulturalne m.in. w Telewizji Polskiej, Polskim Radiu oraz Rock Radiu. Jest współautorem podcastu o serialach „Nie spać, słuchać!”.

Kuba Wojtaszczyk

jest laureatem Medalu Młodej Sztuki 2019. Pisarz, dziennikarz portalu Kultura u Podstaw. Autor książek „Portret trumienny” (2014), „Kiedy zdarza się przemoc, lubię patrzeć” (2016), „Dlaczego nikt nie wspomina psów z Titanica?” (2017) i „Słońce narodu” (2018). Jego książki przetłumaczono na niemiecki, węgierski, ukraiński. Stypendysta Prezydent m. st. Warszawy, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Międzynarodowego Funduszu Wyszehradzkiego.



FLO, ODPOWIEDZI!

Sprawdź odpowiedzi
po skończeniu zagadek.

1. REBUS Z NIESPODZIANKĄ:

Gorące pączki z marmoladą

2. KRZYŻÓWKA

HASEŁO: WUCHTA

1-wiadro 2-kapusta 3-papcie/kapcie
4-paproch 5-kartofel 6-paluszek

3. CO NIE PASUJE?

pomidor

4. PODCHWYTLIWY REBUS:

ogródek piwny

5. PRZYTENEGOWAĆ:

przy, ten, tego, ty, rwać, ,
pytać, tenor, tatry, trzec,
trzy, wac, rzepa, typ, netto,
grzywa, grzywna, nowa,
nowe, nowy, trenować
(ja znalazłem 20, a Ty?)

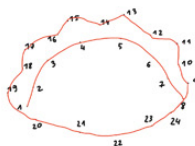
6. Ha!



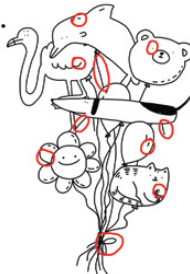
7. 8 parówek



8. KOŚLAWY PIERÓG



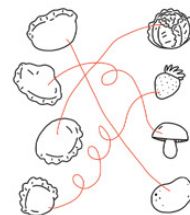
9.



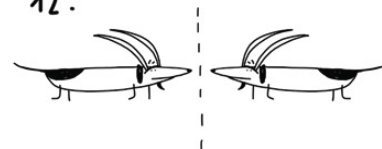
10. 11 wyrazów

L	U	K	R	O	K	I	E	T
O	B	E	N	F	A	R	S	Z
D	A	F	P	R	K	U	K	O
E	B	I	U	Y	A	G	N	P
C	K	A	R	T	O	F	E	L
Z	A	N	E	K	Z	U	D	A
K	R	T	E	W	I	E	C	
P	Y	R	A	K	N	L	K	
R	O	K	L	U	S	K	A	

11.



12.



Spis treści

Wstęp	05
Grzegorz Gajek „Fafkel i złote runo”	08
Justyna Drzewicka „Marylka ratuje świat”	20
Ewa Karwan Jastrzębska „Tajemnica Adeli”	30
Kuba Wojtaszczyk „Niełatwe życie Mirabelli Czyżyk”	42
Malina Prześluga „Legenda o gołębiu z ratuszowej wieży”	54
Eliza Piotrowska „Chcę do domu”	64
Ewa Karwan Jastrzębska „Zaczarowane koziołki”	74
Dominika Słowik „Szklaneczka”	78
Patrycjusz Tomaszewski „O dukacie, obłokach i wielkich trzech smokach”	92
Sylwetki twórców	102





